



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

**Treść Numeru.** Nieużyteczni, komedia w czterech aktach Edwarda Cadol przełożona przez Joannę Belejowską. — Listy o literaturze i literatach warszawskich. Rusalka. Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Szpielhagen przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński. — Korespondencja z Paryża. — Przegląd literacki, artystyczny teatralny i różne wiadomości. — O ubiorach. — Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszwego. —

**NIEUŻYTECZNI.**

**KOMEDIA W CZTERECH AKTACH**

EDWARDA CADOL

przełożona

przez **Joannę Belejowską.**

(Dalszy ciąg).

**Scena 11.**

Henryk, Desrives, Jan, Trévieres.

Jan (meldując). Pan baron de Trévieres (wprowadza go).

Desrives (chce wyjść). Ach!

Henryk (zatrzymując go). Już nie czas.

Trévieres. Aha! Henryś!... i pocziwy Desrives (siada). Uf!

Henryk. Witamy barona!

Trévieres. Zaraz... zaraz... zdyszałem się... Uf!..

Henryk. Wstydz się baronie tak się męczyć... wielka rzecz że przeszedł dwa piętra.

Trévieres. Ależ to nie dla tego.

Desrives. Nie, to astma mu dokucza.

Trévieres. Co on znów gada!... Ja nie mam astmy... tylko... tylko jestem po śniadaniu, — po dobrem śniadaniu... które trwało od wczoraj rano.

Henryk. Niech cię nie znam, baronie.

Trévieres. Cóż chcesz?... żegnam się, niestety! z kawalerskim życiem.

Henryk. Byćże to może!... Co za nieszczęście!... żenisz się!...

Trévieres. Cóż robić młody przyjacielu!... niepowodzenia majątkowe zmuszają mnie do tego.

Desrives (chce wychodzić). Dobrze, zacznij rozpowiadać...

Trévieres. Odchodzisz, Desrives?

Desrives. Mam pilny interes....

Trévieres. Chwilkę tylko... potrzebuję wiedzieć czy w tej okoliczności mogę liczyć na ciebie.

Desrives. Zapraszasz mnie na družbę?...

Trévieres. O! to nie dość, potrzebuję aby ktoś zastąpił mi ojca.

Desrives. Aj!

Trévieres. Jestem sierotą.

Henryk. W tak młodocianych latach!

Desrives. Jaktó! i z całej rodziny nie pozostał pan nikt coby mógł cię oświadczyć?

Trévieres. Mam wprawdzie siostrzeńca, ale jesteśmy z sobą trochę na bakier. Zresztą ty lepiej od kogobądź znasz moje interesa.

Desrives. Ależ, mój kochany, jeśli słówko pisnę o nich, można się założyć, że małżeństwo nie przyjdzie do skutku.

Trévieres. Pocieszny jesteś! a któż ci każe mówić o tem... z resztą trzeba tylko umieć grupować cyfry.... nadto, jesteś tak dobrze uważanym w tym domu....

Desrives. A! więc ja znam twą wybranę.

Henryk. Zapewne owa wdówka?...

Trévieres. Bynajmniej.

Desrives. Kogóż u licha chcesz zaślubić?

Trévieres. Nie domyślasz się? — Helenę, pupillę Mesnard'a.

Desrives. Żartujesz!

Trévieres (mylnie sobie tłómacząc zadziwienie). Trudna rada! Prawda, nie może się pochlubić ani pięknoscia, ani urodzeniem, wiem o tem dobrze, ale...

Henryk. Pewnie bogata?

Trévieres. I to właśnie mnie skłania...

Henryk (na str.). Do popelnienia nikczemności.

Trévieres (do Desrives'a). No! jakże...

Desrives. Bardzo mi przykro, kochany przyjacielu, ale... nie mogę ci służyć.

Trévieres. Jaktó więc mi odmawiasz?

Desrives (wesolo). Chyba że zobowiązesz się uroczyście odplacić mi się najściślejszą wzajemnością?

Henryk. Czyżbyście panowie o jednej zamysłali osobie?

Trévieres. Nie pojmuję...

Henryk. Ja zrozumiałem od razu, jesteście panowie rywalami.

Trévieres. Sądzę że to zapewne żart tylko.

Desrives. W takim razie nie z mojej strony.

Trévieres. A to trzeba nieszczęścia!.. Ale stało się! muszę sam myśleć o sobie.

Desrives (wesolo). Wszak nie gniewasz się na mnie, baronie?

Trévieres. Bądź spokojny (podają sobie ręce).

Desrives (do Henryka). Do widzenia panie Potey.

Henryk. Do widzenia.

**Scena 12.**

Henryk, Trévieres.

Trévieres. Pocieszny jest ze swoim „nie gniewasz się baronie“ myśli że ułękne się jego współzawodnictwa.

Henryk. Tak sądzisz?

Trévieres. Zaręczam ci! podobni śmiałkowie nie wątpią o niczem. Jestem pewny że co chwila z pychą powtarza sobie: „Cóż to! przecież jestem notariuszem! Ale poczekaj kochanku, chociaż heroldy mi zaprzecza, jednakowoż jestem baronem, a wiadomo że dla kobiet, sam tytuł baronowej...“

Henryk. A szczególnie baronowej de Trévieres... ród tak starożytny...

Trévieres. O tak! początek naszego rodu tak odległych sięga czasów...

Henryk. Że nikt go odszukać nie może.

Trévieres. A potem, coż to za życie czeka jego żonę! Siedzieć ciągle jak na uwięzi obok kancelarji pełnej zbutwiałych papierów stemplowych.

Henryk. Ani słowa. Kiedy przeciwnie, z tobą baronie...

Trévieres. Będzie rozpościerać się w pałacu.

Henryk. Ale kiedy mówią że z twojego już tylko skrzydło pozostało.

Trévieres. Cóż to znaczy? odbuduję go posagiem mojej żony. Wprawdzie nie mogłem nigdzie wynaleść planów, przedstawiających stary pałac w pierwotnym stanie, ale same stopy pozostałych kamieni, świadczą o dawniej jego świetności. Mój Boże! jakże to musiało być wspaniale kiedyś, gdy liczna służba uwijała się po korytarzach, gdy kwiat najwykwintniejszego towarzystwa zapełniał salony i rozkoszował się cieniem odwiecznych drzew parku, a w około rozlegał się odgłos szeczekania wyborowej sfory. O! mój kochany, złote to były czasy! nie bywałeś narażonym na współzawodnictwo jakiegoś tam notariusza... i jakiegoż jeszcze! Młokos sztywny, suchy, zimny, który traci marnie, ślęcząc nad papierzyskami, najpiękniejszy wiek w jakim my umiemy, tylko śmiać się, pić, kochać, słowem używać świata. O! to zgroza, doprawdy, żeby człowiek młody, bogaty, przez prostą jedynie chciwość starał się o dziewczynę zupełnie brzydka.. Ale powiem jój to wszystko, powiem wyraźnie, że gdyby nie miała majątku ani spojrzalby na nią.

Henryk. Kiedy przeciwnie baronie...

Trévieres (nawnie). Tak samo bym postąpił... Ależ to zupełnie co innego.. Ja! jestem ja!!!

Henryk. Nieporównany jesteś baronie!

Trévieres (n. str.) Wiem o tem.

**Scena 13.**

Ciż, Paweł, Aniela, później Jan, Mesnard i Helena.

Paweł. Kto jest nieporównany? Trévieres?...

Trévieres. Przecież nie pierwszy raz to słyszysz.

*Paweł.* Ach dajmy pokój historii starożytniej.  
*Trévères* (kłaniając się Anieli). Pani!  
*Jan* (meldując). Pan Mesnard, panna Helena Seguin. (Mesnard wchodzi wprowadzając pod rękę Helenę. Mesnard ubrany skromnie, Helena nie rażąco śmiesznie ale bardzo nie do twarzy).

*Mesnard.* Kochany bracie! (Ściskają się, Mesnard przedstawia mu Helenę. Paweł zapomina się i całuje ją w czoło.

*Paweł* (zmięszany). Cóż ja robię! przepraszam panią, zapomniałem się... myślałem...

*Mesnard* (śmiejąc się). Że to twoja siostra... A prawie się nie znacie.

*Helena.* Owszem, przypominam sobie dobrze p. de Fortenoye.

*Paweł.* Ach! nie zapomniałaś pani?..

*Henryk* (do Pawła). Co tobie?

*Paweł.* Nie, dla czegoś mnie pytasz?

*Henryk.* Jesteś jakby zmięszany.

*Paweł.* Być może... ale bo widzisz... nie jestem przyzwyczajony do towarzystwa uczciwych dziewcząt.

*Henryk.* Aha!...

*Mesnard* (do Pawła). Wiesz, ułożyliśmy spisek?

*Paweł.* Przeciwno mi.

*Mesnard.* Owszem, dla twego dobra. (do Anieli). Moja droga, czemu dajesz mi różne znaki telegraficzne? — Ja się tam nie znam na żadnych dyplomatycznych wykrętach, najlepiej przystąpić wprost do rzeczy.

*Paweł.* Wiem, już wiem. Aniela pozwoliła mi domyśleć się waszych zamiarów.

*Mesnard.* I cóż?..

*Aniela.* Ani słuchać nie chce.

*Paweł.* Ależ przecie obiecałem że was odwiedzę.

*Aniela.* Kiedy?

*Trévères* (zartując). Koło Wielkiej Nocy.

*Mesnard.* Nic z tego, zabieramy cię zaraz.

*Paweł.* Ola-Boga! złapany i powieszony bez wyroku.

*Helena.* Ależ bo tam pana oczekują.

*Paweł.* I pani przeciwko mnie?..

*Helena* (nieśmiało). Mówię to dla tego... że....

*Paweł.* Owszem, mów pani śmiało. Krewni moich przyjaciół są trochę i mojemu... Tylko że w tej chwili niepodobna mi opuścić Paryża.

*Aniela.* Czemu, czy masz jakie zajęcie?

*Paweł.* Ja?... to jest...

*Henryk.* Pytasz pani czy ma jakie zajęcie... o-gromne! Nic nie robi od rana do nocy.

*Trévères* (śmiejąc się). Wybornie.

*Henryk.* Tylko ma różne swoje nawyki i upodobania. Myślisz pani że Paweł jest zawsze owym powabnym młodzieńcem, nie troszczącym się o nic, ani o rodzinę ani o swoich, żyjącym po prostu z dnia na dzień. O nie! wszystko się zmieniło, (zartobliwie) „jakby się ku starości nieco już chyliło.“ Lew zaczyna statkować i zaprowadza jakiś ład w swoim anormalnym życiu. Jego zachcianki zaczynają podlegać pewnej reglementacji, ułożył sobie system higieniczny gastronomii i..... pohulaneł, a nowo objawiające się manjaki doprowadzą go z wolna do zwykłej starym kawalerom tuszy i nieco rumianych policzków.

*Paweł* (na str.). Poczekaj, zdrajco.

*Trévères* (uradowany). Wybornie, słowo honoru, wybornie. (Do Pawła). Tak kochanku starzejiesz się widocznie.

*Paweł.* Cóż robić, baronie.

*Trévères* (do Heleny). Zaręczam panią, że wszystkim garderobianym mówi „moja piękna.“

*Henryk* (do Pawła, wskazując Tréviera). Masz przykłąd, nieszczęsny, patrz co cię czeka!

*Paweł* (do Henryka). Patrz sobie sam. (do innych) A więc postanowiliście mnie ożenić.

*Mesnard.* Koniecznie.

*Paweł.* Cóżem wam zawinił?...

*Trévères.* Mają słuszość. Ja pierwszy przyznaję że człowiek nieożeniony jest to zero bez jednostki.

*Henryk.* Dowód. I cóż ci z tego przyjdzie że jesteś hrabią de la Fortenoye, człowiekiem ukształconym, znającym świat i ludzi etc. etc. etc. Kiedy nikt nie nazywa cię inaczej, jak Pawłem, lub co najwyżej, hrabią Pawłem.

*Paweł.* Więc cóż?

*Henryk.* Cóż! daruj, mój drogi, ale przyznasz że przyjdzie chwila, w której nie bardzo miło nam nie być czemś więcej jak tylko Pawłem.

*Trévères.* Dobrze mówi.

*Paweł* (do Tréviera). Jakże ci imię, baronie?

*Trévères* (nawnie). Narcyz.

*Paweł.* A!!! rozumiem.

*Mesnard.* Ależ mój Pawle, czemuż jest człowiek nie będący ani mężem ani ojcem?

*Paweł.* Jaktó? nie wiesz?... Kawalerem.

*Mesnard.* Jest nieużytecznym.

*Paweł.* I o cóż wam chodzi? O! wy wszyscy, którzy dotknięci nowoczesną chorobą jakiejś mniemanej czy rzeczywistej wyższości, popychacie się i potracacie nieustannie, mniej więcej szkodliwie, w beznamiernym chaosie nieubłaganego współzawodnictwa, dajcież pokój nam nieużytecznym, przynajmniej dla nikogo nie jesteśmy szkodliwi... Zresztą powiem otwarcie, że mam nieprzeparty wstręt do małżeństwa.

*Aniela.* Co za nedoręczność! Cóż ono ci winno?

*Paweł.* Najpierw, pozbawiło mnie siostry.

*Aniela.* A dało przyjaciela i siostrzenicę.

*Paweł* (ściskając rękę Mesnarda). Z przyjacielem zawsze się kłócimy, a siostrzenicy nigdy nie widziałem.

*Mesnard.* Nie śmiałem jęć tu przywieźć.

*Paweł.* A potem.... potem... prawdę mówiąc, na co mi własna żona?... Co ja będę z nią robił... co mówić.... Strach mnie przejmuje na samą myśl...

*Helena.* Poznawszy pannę de Solre, zmienisz pan zdanie.

*Paweł.* Więc to ósmy cud świata.

*Helena.* Taka ładna...

*Paweł.* Wielka rzecz! wszystkie młode kobiety są ładne.

*Helena* (uśmiechając się smutnie). Niestety! są i brzydkie.

*Paweł* (patrzając na nią). Nigdy takiej nie widziałem.

*Helena* (spuszczając oczy). Musisz pan mieć bardzo krótki wzrok.

*Henryk* (na stronie). Biedne dziewczę!

*Mesnard.* Więc wszystkie nasze zabiegi udaremniłone.

*Aniela* (smutnie). Można się było tego spodziewać.

*Paweł.* Aniela...

*Aniela* (wzruszona). Dwoje nas tylko zostało z całej rodziny, i żyjemy rozłączeni i obcy dla siebie.

*Paweł* (wzruszony). My! obcy dla siebie!

*Aniela* (ocierając łzy). Ty nie wiesz jak to bolesne dla mnie...

*Paweł* (żywo). Aniela!... siostrzo moja... ach! jakież ty dziecko... No, już już jadę z wami, zaraz... natychmiast... ale, na miłość boską! nie płacz...

*Trévères.* Zwycięstwo nie łatwo przyszło.

*Henryk.* Ach! jedźżesz, dzięki Bogu.

*Mesnard* (do Heleny uważnie przysłuchującej się całej scenie) To jakiś poczciwy chłopak. (Wskazuje Henryka).

*Paweł* (do Henryka). No widzisz mój drogi, gdzie się podziała siła mej woli? Jadę z nimi. Co ty tu poczniesz bezemnie?

*Henryk.* Zapewne umrę z rozpacz.

*Paweł.* Niepoczciwcze! (Cicho) Jadę, ale na tem koniec... rozumiesz mnie.

*Aniela* (do Henryka). Może pan raczysz także nas odwiedzić?

*Henryk.* Będę korzystał z łaskawego zaproszenia.

*Paweł.* I bądź pewny że to piękne postąpienie nie zostanie bez nagrody... Ożenisz się za to z panną de Solre!

*Trévères.* A kto wie?...

*Paweł.* Ale prawda!... A twój ojciec.

*Henryk.* Tatko!... będzie w siódmym niebie... jakiś czas nie tylko nie będę wracać, ale nawet wcale nie pokażę się w domu.

(Zasłona spada).

## AKT II.

W okolicach Amiens. U Mesnarda. W lecie.

Rodzaj salonu z oknem wychodzącym na park; umeblowanie odznaczające zamożność. Na lewo, na pierwszym planie lustro i żardinjera; pod lustrem stolik do roboty.

### Scena 1.

Aniela. — Desrives.

Za podniesieniem zasłony, Aniela siedzi przy małym stoliku haftuje. Desrives siedzi z drugiej strony stolika.

*Aniela.* Więc powiadasz, panie Desrives...

*Desrives.* Że procenta od długów obciążających hipotekę dóbr brata pani, pochłaniają już od dawna wszystkie dochody.

*Aniela.* Wszystkie dochody?

*Desrives.* Więc pani nie wiedziałaś o tem?

*Aniela.* Nic a nie!

*Desrives.* Może źle zrobiłem że pani powiedziałam.

*Aniela.* Owszem, dziękuję panu, muszę poznać położenie brata, aby wiedzieć jak go ratować. Więc powiadasz pan że procenta pochłaniają dochody.

*Desrives.* I to jeszcze nie zupełnie wystarczają.

*Aniela.* Więc z czegoś się utrzymywał?

*Desrives.* Posyłałem mu całe dochody jakby żadnych nie miał długów.

*Aniela.* Nie rozumiem.

*Desrives.* Widzę że muszę panią zawiadomić o wszystkim, bo chcąc aby ułożone zamiary stały się możebne, trzeba...

*Aniela.* O jakich zamiarach pan mówisz? Któż panu dostarcza pieniędzy które posyłaś Pawłowi?

*Desrives.* Otóż to właśnie obiecałem zataić przed panią, ale widzę teraz że dłuższe ukrywanie grozi niebezpieczeństwem, więc powiem prawdę. Dowiedz się pani zatem że to pan Mesnard pragnie za jaką bądź cenę ocalić pałac de la Fortenoye.

*Aniela* (mocno wzruszona). Mój mąż! Jak to dobrze żeś mi pan powiedział... jakaż to radość dla mego serca!... I ukrywał się z tem jak gdyby... Ach! panie Desrives, jak to pięknie, jak szlachetnie z jego strony!... nieprawdaż?

*Desrives.* Rzeczywiście... ale zarazem jest to bardzo ryzykowne, i trzeba koniecznie starać się aby przynajmniej ofiary te nie były bezużyteczne.

*Aniela* (z ufnością). Ożenimy Pawła.

*Desrives.* Nie ufam tej kombinacji.

*Aniela.* Panna de Solre jest prześlizczna, a chociaż rodzice jej znają prawie dokładnie położenie mego brata, jednakże chętnie zgadzają się na ten związek.

*Desrives.* Ale zdaje mi się, że brat pani ani myśli o tem małżeństwie.

*Aniela.* Nie tracę jednak nadziei...

*Desrives.* A jeśli stanowczo odmówi?

*Aniela.* Więc...

*Desrives.* Nie mogę zataić, że chcąc ocalić la Fortenoye mąż pani popełnił wielką nierostropność.

*Aniela.* Jesteśmy bogaci.

*Desrives.* Zapewnie, ale któż wie co może wypaść.

*Aniela.* Więc cóż mi pan radzisz?

*Desrives.* Trzeba dać poznać Pawłowi prawdziwe jego położenie i sprzedać la Fortenoye.

*Aniela.* Zburzyć gmach zbudowany przez Mesnard'a? brak mi na to odwagi. A potem czyż sprzedaż la Fortenoye ocaliłaby Pawła?

*Desrives.* W takim razie ręczę za wszystko.

*Aniela.* Trzeba pomyśleć o tem panie Desrives... zobaczymy co mąż mój postanowi, ufam mu nieograniczenie... Ale jak potrafię odwdziżyć się panu za tyle dowodów przyjaźni i tak szczerze zajęcie się interesami mego brata.

*Desrives.* Chętnie podam pani sposobność. Zostań moim adwokatem.

*Aniela.* Przy Helenie? z całego serca; ale...

*Desrives* (śmiejąc się). Czyż papiery Tréviera idą w górę?

*Aniela.* Nieborak! żadnej dla niego nadziei... ale pan nie możesz żadnego dlań czuć politowania... stara się szkodzić ci ile może.

*Desrives.* Pani żartujesz?

*Aniela.* Bynajmniej, — zrozumiesz pan łatwo gdy ci powiem, że Helena wbiła sobie w głowę iż jest bardzo brzydka...

*Desrives.* Czy być może?...

*Aniela.* Nie dziw się pan, wierzę mi nie jest to nic wyjątkowego. Ileż to razy, widząc że młoda dziewczyna ukradkiem raz po raz spogląda w zwierciadło, wysmiewacie się z niej, sądząc że z rozkoszą przygląda się swej urodzie, a ona przeciwnie pragnie tylko zasłonić lub zmniejszyć jakąś znaną sobie ułomność swej powierzchowności nad którą srodze boleje, bo zbyt mocno przesadza sobie jej doniosłość. Żądza podobania wrodzoną jest najuczciwszą kobiecie... jakże więc bolesnego doznaje uczucia, każda która jest, lub uważa się za brzydka. Otóż moja biedna Helena zalicza się do ostatnich. Zwróć pan tylko uwagę jak niekorzystnie się ubiera, jak starannie unika kolorów i wszelkich drobnostek, które jej się wydają niestosowne a nawet śmieszne dla niej jako zdradzające niby pewną pretensję. I nic tu nie pomogą żadne dowodzenia, niczego słuchać nie chce.

Lecz jak z jednej strony uważa się za brzydka z drugiej wie że jest bardzo bogata, a obecnie pan de Tréviers... zagrażając staraniem się o jej rękę, utwierdził jeszcze biedną Helenę w jej przekonaniu, które

## LISTY

O LITERATURZE I LITERATACH WARSZAWSKICH.

## List IV.

*Treść:* Jeszcze o dramacie.—Józef z Mazowsza i dramat jego: Księżniczka Ostrogska—Judyta—drobne poezje — rzut oka ogólny.

Świat dzieli się na cztery wielkie kategorie — na milionerów pieniędzy i ubogich — na milionerów ducha i ubogich w duchu. Ci którym pieniąż zapewnia wszystkie potrzeby szukają rozrywek, zabaw, przepychu i zbytku by urozmaicić jednostajność i smutek przenikający na wskrós nędzne nasze życie: ci zaś którym brak pierwszych a koniecznych potrzeb, usiłują przez pracę czy myśl ciężką, za- dość im uczynić.

Prawo to stosuje się w całości do dziedziny ducha. Jeżeli lud jaki wielką a mozolną pracą wysnutą z wewnętrznych kryjówek swoich, zagoił wszystkie swe rany, zapełnił niedostatki socjalne, wówczas milio- ner umysłowy poczyna myśleć o przystrojeniu nędz- nej lepianki swego bytu w przepych piękna, w dzi- wy przędzy duchowej... I on może to czynić, może sobie mówić spokojny, że sztuka jest dla sztuki — lecz jeśli tam w głębiach społecznego morza kryją się rany niezagojone, miotają bóle wielkie, wówczas to co pięk- ne usuwa się winno na drugi plan, a na świeczniku stać to co pożyteczne, co konieczne wreszcie...

Wiesz moja dobra pani, jak nieraz szarpany nie- pokojem wewnętrznym, na Bajrona chory, szedłem o szarym mroku by patrzeć na pulsujące życie po ulicach Warszawy... Byłem smutny — a wyobraźnia rozdrażniona tym smutkiem wewnętrznym snuła dzi- wnie ciemne nici, któremi oplatałem postacie uliczne. Więc owdzie żył stary, brudny, wlokący się do ubo- gięj i cuchnącej chaty po całodziennem wołaniu o swym towarze, z zarobkiem kilku złotych w kie- szeni, stawał się dla mnie przedmiotem dramatu spo- łecznego, dramatu o krwi i kościach, o prawdzie i po- trzebie.. Mówię to dla tego, że dramat w życiu egzy- stuje, że trzeba go tylko umieć szukać, trzeba umieć patrzeć... Dramat taki podnosząc jakąś kwestję ob- chodzącą nas wszystkich, kwestję żywotną znajduje współczucie, zadumę i myśl... będzie on fotografią w którą każdy rad będzie patrzeć choć z biciem ser- ca i drżeniem wewnętrznym.

Takie to uwagi nasunął mi dramat *Józefa z Ma- zowsza*, o którym przychodzi mi teraz choć słów pa- rę powiedzieć. Dramat ten zatytułowany: *Księż- niczka Ostrogska*, opiewa znane powszechnie a praw- dziwie łzawe dzieje Halszki z Ostroga, córki IIIi kniazia na Ostrogu i Beaty Kościeleckiej. Kilka myśli jakie rzuciłem na wstępie niniejszego listu jasno pokazują, że dla mnie tego rodzaju prace są rzeczą bezużytecz- ną, niepotrzebną. Lecz ponieważ niemożna żadnemu pisarzowi nakreślać dróg, któremi iść winna jego twórczość poetyczna, więc pozbędę się na chwilę mego stanowiska, by sądzić ów dramat ze stanowiska dzieła sztuki i historii.

Pominąwszy już, że przedmiot ten obrabiany był przez Kraszewskiego, Przeździeckiego i Szujskiego, pominąwszy wreszcie, że jakkolwiek sam w sobie mie- ści wiele dramatycznego wątku, to jednak chcąc trzyma-ać się ściśle historii, niepodobna wysnuć z rozrzu- conych i ciągnących się długo faktów, prawdziwego dzieła sztuki. Pan Józef z Mazowsza oparł się na opowieści Łukasza Górnickiego i rozpoczyna dramat w chwili, gdy księżna Beata obłąkana od Górki w kla- sztorze Lwowskim zezwala na potajemny ślub Halszki z Siemionem Olelkowiczem. Autor ałoli popełnił jeden błąd przeciw historii. Gdyby był przejrzał Kojalowicza byłby się dowiedział, że jedyną osobą z całej tej zgrai konkurentów, którą naprawdę kocha- ła Halszka, był ów zdeptany i rozbójnikiem przez nie- go zwany kniaz Roman Sanguszko. Miłość Stani- sława Barży jest niepotrzebnym wytworem koncepcji poetycznej. Również ślub Łaszczka z Beatą znacznie później miał miejsce. Dramat ma pięć aktów i pi- sany jest wierszem gładkim, potoczystym. Akcja w ustępach nie mająca w sobie dramatyczności, któ- ra objawia się dopiero w całości historii Halszki, wlece się powoli. Postacie są mglisto i słabo ry- sowane, najlepszą i najzgodniejszą z podaniami histo- rycznymi jest sama Halszka. Poeta widno z miło- ścią kreślił tę postać, a pomieszanie zmysłów, które- go pierwsze objawy ukazywały się już podówczas, od-

dał mistrzowsko. Przytoczę tu parę ustępów, byś sama mogła potwierdzić me zdanie, ukochana moja. Halszka w akcie I-szym tak mówi do swęj klucznicy:

„Ale zkad tobie ta panienska w głowie?  
Będą się śmieli, jeśli się kto dowie.  
Bogu jam może jeszcze i panienska,  
Bo w oczach Boga gasła moja gwiazda,  
Kiedy od matki z domowego gniazda,  
Dzika, zbójcecka wydarła mnie ręka.  
Bogu ja mogę, jako nieskalana,  
Jako dziewica, modlić się co rana,  
Bo cóżem winna, że nieletnią, dziecko,  
Porwał i oplwał możny pan zdradziecko?  
Ale to miano w obecności świata  
Już mi nie służy, bo dziewczęca szata,  
Choć gwałtem, ale w podwikę zmieniona.  
Słyszysz? — jam żona — wdowa — i znów żona!  
Jam żona przecie... a mąż — wróg zajadły...  
Zda się go cieszyć mój strach i mitręga,  
Choć wie że trupio poliżki mi zbladły,  
Że zbladły przed nim — jednak po nie sięga“.

Lub jęj rozmowa w Akcie III z Siemionem.

„Co za okropne przeznaczenie moje!  
Zda się, że pędzę na strasznym rydwanie,  
W kolo którego gwałty, śmierć i boje;  
Jestem jak widmo otoczone czarem,  
A za mną, niby różga za kometa,  
Świeci mój posąg śmiertelną podniętą,  
Jam matce — sobie — jam ludziom ciężarem.

Siemion

Czym i ja także w szereg ten wliczony?

Halszka (posępnie).

O nie, Siemionie... z twojęj tylko strony  
Coś radosnego mi świeci... o zorzy  
Często się budzę w tym posępnym gmachu,  
A tłum widm dziko chichocze i trwoży;  
Po czoło zimny pot płynie ze strachu,  
Żegnam się krzyżem — nie — widma chichoczą,  
I zdaje mi się, że pod ich przemocą  
Padnę, że zginę... Lecz myśl ogłuszona  
Przegląda wreszcie sercem po za trwożę  
I przypomina że ty jesteś z nami,  
I wnet ucieka tłuszcza rozgromiona:  
Ty jasny, groźny wstępujesz na drogę...  
Zasypiam cicho... z uśmiechem... z kwiatami...“

Dramat ten drukowany był w Tygodniku Ilustro- wanym na rok 1868 — a poprzednio jeszcze na parę lat, Józef z Mazowsza wydał osobny poemat p. t. *Judyta*. *Treść* jego wziętą została z apokryficznych ksiąg Starego Testamentu i znana jest wszystkim. Najlepiej zrobię jeśli ci przytoczę słowa współczesnej krytyki.

„Judyta, jest to tytuł przypadający nierównie le- piej do tragedji niż do poematu, albowiem główna treść i cała osnowa tęj legendy dziejowej o bohater- ce Judy zasadza się i opiera na dramatycznym żywio- le. Ostre i barwiste ramy tragedji, z żywą akcją z upostaciowaniem grup, wypadków, zaledwie mogą zamknąć w sobie ten pyszny, obłany rubinowem świat- łem obraz...“

Z tem wszystkiem jednak poemat P. Józefa z Ma- zowsza — nie jest pospolitym ani bezbarwnym utwo- rem. Młody poeta podołał ożywić bladą i jednostajną formę poematu przeprowadzeniem przez nią zastoso- wawczej idei — rzeczywistym talentem, który tu wszędzie, w języku czystym i jedrym, w obrazach silnych, w porównaniach dosadnych, zarówno prze- świeca.“

Posłuchaj niektórych ustępów, z tego prawdziwie natchnionego utworu.

„Któż ciebie wykłął Betulijski grodzie,  
Że jak glaz grobu zmlknąłeś o wschodzie?  
Czemuś oniemiał jak pusta ruina,  
Jak martwe ciało niewdzięcznego syna!  
Spisz w blasku zorzy wstającej natury,  
Jak gad na łonie izraelskiej córy,  
Która z snów lubyh przecierając oczy.  
Bezwałdna jeszcze budzi się i mroczy.

Ni winnie śladu, ni lemieszka w roli,  
Ni hożych dzieciak niewinnej swawoli

mimo pozornęj rezygnacji, mocno ją boli i upokarza. *Desrives*. Ale przecież ja nie jestem starym zrujno- wanym hulakiem, — mam znaczny majątek i nie po- trzebuję posagu panny Heleny.

*Aniela*. Wiem o tem; — ale z jakiejże strony przedstawić jęj zamiary pana.

*Desrives*. Z bardzo prostęj.

*Aniela*. Tak, zapewne... odpowiednie położenie towarzyskie.

*Desrives*. Coś więcj nad to: może liczyć na szcze- re moje przywiązanie.

*Aniela* (nawnie). Ah! wszak prawda że można ją kochać.

*Desrives* (zadziwiony). Pani wątpisz o tem?

*Aniela*. To ta nieszczęśliwa manja Heleny tak na mnie oddziaływa. Czasami długo jęj się przyglądam, i w dobręj wierze pytam siebie, czy czasem nie ma słuszności mniemając, że nigdy nie zdoła wzbudzić w nikim tego tkliwego uczucia... jednym słowem uczucia miłości.

*Desrives*. Jakto więc i pani?...  
*Aniela*. Zdaje mi się że się myli. Wprawdzie nie fest ładna, ale sądzę że może się podobać... Ale jestem kobietą... może mężczyzmi innemi patrzą o- czami.

*Desrives*. Upewniam panią, że ożeniwszy się z nią kochałbym ją z całego serca.

*Aniela*. Wierzę panu. Lecz powiedz mi szczerze, czy dla pozyskania jęj ręki, byłbyś zdolnym popel- nić... (szuka słowa).

*Desrives*. Co takiego?

*Aniela*. Nie wiem jak to powiedzieć... oto... coś takiego jak o tem piszą w książkach.

*Desrives*. Jakiś czyn szalony?

*Aniela*. Jaki czyn bohaterski.

*Desrives*. To na jedno wychodzi.

*Aniela* (uśmiechając się). Niech i tak będzie. No, więc czy zdobyłbyś się pan na co podobnego dla Heleny?

*Desrives*. W konieczności... ale...

*Aniela*. Ale?...  
*Desrives*. Jestem notariuszem...  
*Aniela* (nawnie). A to się nie przytrafia notar- juszom?

*Desrives*. Niekiedy...  
*Aniela*. Ale rzadko?

*Desrives*. Jakoś wszelkie szaly nie bardzo się zga- dzają z powagą notariusza... Ale mniejsza o to, potrafię się na nie zdobyć, jeśli panna Helena nie po- przestanie na uroczystem zapewnieniu, że jestem uc- ciwym człowiekiem, i że majątek jęj nie nie wpływa na moje staranie się o jęj rękę.

*Aniela*. Bądź pan pewnym najszczerzego z męj strony poparcia.

## Scena 2.

Ciż, — Helena.

*Helena* (wchodzi z pękiem kwiatów). Patrz jakie śli- czne będą bukiety. (Do *Desrives'a*). Dzień dobry panu. (Widząc że bierze za kapelusz). Odechodzisz pan?

*Desrives*. Tak pani,

*Helena*. Patrz jakie cudne róże.

*Aniela*. Prześliczne. (Bierze jedną i stając przed lustrem kładzie we włosy, Helena przygląda jęj się u- ważnie).

*Helena*. Spotkałam w ogrodzie p. de Trévieres, i wiesz co mi powiedział zobaczywszy te róże?

*Aniela*. Jaką nedorzeczność.

*Helena*. Zbyt surową jesteś dla niego. Powiedział mi coś całkiem dla mnie nowego, co mnie niesłycha- nie wzruszyło. Spojrzał na róże, i rzekł: „Istne sio- stry pani!“

*Aniela* (śmiejąc się). Ach! Heleno.

*Helena* (j. w.). Cóż chcesz moja droga, wiesz że nie jestem przyzwyczajona do komplementów, muszę więc oceniać wysoko dobre jego zamiary, i być za- nie wdzięczną. (Zbliża się do żardiniery). Panie *Des- rives*, powiedz że mi pan także że te śliczne róże są moje siostry.

*Desrives*. Nie mam dowcipu pana de Trévieres. (Kłania się Helenie, potem zwracając się do *Anieli*). Żegnam panią.

*Aniela*. Do widzenia.

(*Desrives* wychodzi).

(d. c. n.)

Ni trzód ryczenia, ni głosu pasterza,  
A zorza taka czarowna i świeża!

Albo obraz głodu i pragnienia, dźwiga w sobie iście  
tragiczną siłę.

„Jutrzenka znikła, lub raczej zmalala  
I w purpurowym blasku się rozlala.  
W wąwozach jaśnień, jaśnień za wzgórzami,  
Gdzieniedzie tylko cień światłości plami,  
Tak że już widać w tajemniczym, brząsku,  
Coś niby barwy starze na obrazku,  
Coś niby polysk zasłonięty mgłami.  
Lecz cóż to w grodzie! Co za rój posągów  
Wyległ na place, jak wszystko w milczeniu  
I w kolosalnym zatoczył pierścieniu  
Przed glazy fontann i staw wodociągów?  
Coraz to ciaśniej spaja swe ogniwa  
I coraz groźniej patrzy się w fontanny:  
Lecz mileczy głucho głaz wzrokiem wyzwany,  
A tłumu więcej i więcej przybywa.  
Ha! wody zbrakło! — tylko na dnie głazów  
Sycąc pragnienia kilka czolga plazów,  
I żłopie męty pomieszane z błotem,  
I kał tłumowi drogim zda się złotem!  
On cheiwe oko wlepia plazów śladem  
I dziś z rozkoszą chciałby zostać gadem.  
I gad raz w życiu szczęśliwszy od czleka,  
Do ciemnej nory napojon ucieka.

Tlum wciąż się ścisnął, lecz nie mógł się ścisnąć,  
Jak z fontann woda nie mogła wytrysnąć,  
Roi się tylko — co przed się pobieży,  
Wnet tyleż kroków cofając się mierzy,  
I znowu naprzód — i znowu się cofa,  
Jak od granitu tępy raz kilofa.  
Naokół stawu, jak strażę na murach,  
Stoją rycerze zaciśniętym rzędem,  
Pilnując mętów, co tkwiły w marmurach,  
Broniąc tych resztek przed ludu zapędem.  
Nareszcie groźne rozpaczy milczenie  
Przechodzi zwolna w falujące wrzenie,  
Drżą wszystkie piersi i trzeszcza ramiona,  
Wszystkie się usta otwarły — zawyły —  
Z oczu sen przepadł, oczy zaiskrzyły —  
I z tysięcznego zachuchał ryk łona:  
„Wody, nam wody!...“

Oprócz powyższych utworów P. Józef z Mazowsza drukował udatną powiastkę prozą w Przeglądzie Tygodniowym p. t. *Negliż z Paryża*, w Rodzinie: rozprawkę *O karach cielesnych w domu i szkole* oraz prócz mnóstwa drobnych poezji i powiastek, dwie większych rozmiarów legendy albo jak je sam nazywa *gadki* ludowe p. t. *Zapłata Niebieska i Pszczółka złotna* obie w Opiekunie Domowym gdzie pracuje. Tygodnik Ilustrowany zapowiedział nowy jego dramat w 4 aktach wierszem p. t. *Ofiary Ciemnoty*. W rękopisie ma gotową dwutomową powieść oryginalną p. t. *Kobiety i mężczyźni* i dramat jednoaktowy spolszczony z Heinego *William Ratcliff*.

Jak widzisz więc panno moja, w ducha poety o którym mówię, tleją święte zarzewia a raczej porywy ku wyśpiwaniu smętnej doli ludzkiej w dramacie. Lecz poeta jakkolwiek nie bez talentu nie ma w sobie jeszcze dziś tej siły co kolosalne, wiekuiście wytwarza kreacje tragiczne.. Talent to cichy, spokojny, lśniący niby strumień lub rosa przeddzienna, ale owych potęg i mocy co tworzą dramata wielkie, co umieją zlać życie w jeden posąg olbrzymi a straszliwy nie ma w Józefie z Mazowsza. Ztąd też opowieść poetyczna zdaje mi się, jest najodpowiedniejszą dla niego polem, jak tego dowodem jest Judyta.

Walery Przyborowski.

## RUSALKA.

Wśród puszczy rozległej myśliwiec zbłąkany,  
Prześliczną zobaczył dziewczę,  
Na barki jej splaywał włos złoty rozwiany,  
Rumieniec ozdabiał jej lice.  
A oczy błyszczały z pod długich rzęs płowych,  
Jak gwiazdki na niebios błękitnie.  
Zas zębki — jak perły wśród ustek różowych,  
Myśliwy osłupiał w zachwycie.  
Więc ściga z zapalem to inknące zjawisko,

Bo piękną pokochał bez miary.  
Ta zęcnie go wabi w głuche uroczysko,  
W pokryte zielenią moczary.  
Wstrzymaj się młodzieńcze! gdy życie ci mile,  
Niech miłość zastygnie w twem łonie.  
Miał słodkiej rozkoszy wnet znajdziesz mogiłę,  
Błotniste zaleją cię tonie.

Nie słucha! przybyli w ustronie ponure.  
Tu stanął przy marzeń swych pani.  
O zgrozo! dziewica unosi się w górę  
A młodzian przepada w otchłani.

Dyonizy.

## MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z Niemieckiego Michał Głiszczyński.

Dalszy ciąg.

### ROZDZIAŁ III.

Kiedy zamknąłem za sobą drzwi wchodowe wybiegła naprzeciwko mnie Różia, która od śmierci matki była gospodynią u mojego ojca, zatała ręce i spojrziała na mnie przerażonymi oczami.

— Czy się ojcu co stało? zawołałem [trzymając się mocno kuchennego stołu. Cała postawa Rózi okazywała wielki przestach i rozpacz, oddech zatał mi się w piersiach, wszystka krew uderzyła mi do głowy, cała kuchnia i Różia zaczęła mi się kręcić naokoło.

— Dziecko nieszczęścia co ty narobił, wyjąknęła Różia.

— Przez boga żywego co się stało? zawołałem głośno, uchwyciwszy gospodynię za rękę.

W tem otworzyły się drzwi od pokoju mojego ojca, a w nich stanął on wysoki i silny mąż.

— Dzięki Bogu wyrzekłem.

W pierwszej chwili uczułem samo tylko rozkoszne uczucie że ojciec zdrowy, ale wnet napłynęły mi do głowy inne zupełnie myśli, kiedy ojciec surowo wyrzekł do mnie:

— Wejść i cofnął się za drzwi. Poszedłem do pokoju ojca.

W uszach mi szumiało, serce mi silnie biło, ale nie z bojaźni.

Kiedym wszedł podniosła się przedemną długa czarna postać, która siedziała na fotelu przed stołem, przy którym zwykł był ojciec pracować. Był to profesor Lederer. Stałem blisko drzwi, mój ojciec przy piecu a profesor przy biurku zasłaniając lampę tak, że cały pokój był jakby cieniem powleczone. Żaden z nas nie ruszył się, żaden nie mówił. Profesor chciał ojcu zostawić pierwsze słowo, a ojciec był za bardzo wzruszony żeby mógł mówić. Tak przeszło parę minut, które mi się całą wiecznością wydały, mimo to potrafiłem wyrobić sobie szybko to przekonanie, że dopóki profesor znajdował się będzie w pokoju mojego ojca, dotąd żadna zgoda między nami dwoma nastąpić nie może.

— Obląkany młodzieńcze, wyrzekł wreszcie profesor.

— Niech mnie pan profesor zostawi samego z ojcem odrzekłem.

Profesor spojrzął na mnie takimi oczami jakby własnym uszom nie dowierzał. Żeby winowajca, przestępca, zbrodniarz a za takiego uważał mnie pan doktor, ośmielał się przerywać sędziemu mowę, była to dla niego rzecz niesłychana.

— Młodzieńcze odezwał się znowu, ale ton jego mowy nie był już bardzo pewnym.

— Powtarzam panu niech mi pan zostawi samego z ojcem, i postąpiłem kilka kroków ku niemu.

— Dostał pomięszania zmysłów, wyrzekł profesor i cofnął się ku ojcu.

— Chłapczel! krzyknął ojciec i postąpił kilka kroków jakby chciał profesora bronić.

— Jeżeli dostał pomięszania zmysłów, wyrzekłem patrząc to na profesora, to na ojca, to tem bardziej powinienem pan opuścić nasz dom,

Profesor obejrzał się na wszystkie strony szukając kapelusza.

— Zostań pan, wyrzekł mój ojciec a głos drżał mu od gniewu.

Czyż my oba, ludzie starzy i doświadczeni, mamy ulegać przed złą wolą tego chłopaka. Zadržo byłem łagodnym dla niego. Czas już jest użyć innych środków.

Ojciec zaczął chodzić po pokoju co zwykle robił kiedy był wzruszony.

— Tak jest innych środków mówił dalej, to nie może trwać dłużej, robiłem co mogłem, nie mam sobie nic do wyrzucenia, ale niechcę być pośmiewiskiem ludzi z powodu tego niepoprawnego zuchwalca. Gdy niechce zrobić tego co jest jego świętym obowiązkiem to i ja już nie mam żadnych względem niego obowiązków, niech spróbuje jak mu tam bezemnie będzie na świecie.

Kiedy te gwałtowne słowa wylatywały mu z ust, nie spojrział ani razu na mine.

— Ojciec twój ma słuszną odezwał się po trzeci raz profesor, bo i on uważał sobie za obowiązek pomagać kuć żelazo, które leżało na kowadle. Czy kto widział kiedy takiego ojca coby więcej dbał o swoje dzieci jak ten zacny człowiek, którego prawosć i pracowitość stały się przysłowiowe, którego zdołają wszystkie cnoty obywatelskie i na którego teraz spada ta dolegliwa troska, że jego syn własny nie idzie w ślady ojca.

Czyliż nie dosyć naciskał na niego los swoich strasznych gromów? Stracił już drogą małżonkę i starszego syna w kwiecie wieku a teraz ostatnie jego dziecko, Benjamin jego starości nad którym tak troskliwą rozciągał opiekę....

Mój ojciec był surowym człowiekiem ale nie lubił fałszu i pochlebstwa. Co więcej był nadzwyczaj skromny to też pochwały profesora wcale mu się nie podobaly.

— Daj pan pokój panie profesorze przerwał mu ojciec powtarzam jeszcze raz: zrobiłem moją powinność i na tem koniec. Niech on teraz robi co mu się podoba!

Nie chcę już wiedzieć nic a nic o nim; zupełnie nie, a jeżeli mu się także podoba to....

Mój ojciec wpadł na nowo w zapalczywy gniew który rósł tem mocniej im spokojniej ja się zachowywałem. Rzecz dziwna. Gdybym się był udał w proźby i błagania jestem przekonany, że byłby mną pogardzał, ale ponieważ robiłem tak jakby on sam był robił gdyby był na mojem miejscu, ponieważ stałem przed nim ponury i niemy znienawidził mnie jak się nienawidzi, to co nam na drodze staje, co nam zawadza, co usunąć musimy a jednak nie możemy tego pogardliwie podeptać nogą.

— Obraziłeś ciężko twojego ojca panie Jerzy Hardtving deklamował dalej profesor, oddaliłeś się bez pozwolenia ze szkoły, nie będę tu wcale mówił o tem że odrzucasz tak drogą sposobność do nabycia nauki, ale nie mogę przemilczeć jak wielkiem złem moralnem jest nieposłuszeństwo, kradźliwość, zły przykład który pokazałeś swoim towarzyszom. Twoja to wina że Artur Zehren uwiedziony twoim złym przykładem uciekł ze szkoły. Nie mogłem wytrzymać dłużej i głośny szyderczy śmiech wyleciał z mej piersi. Szanowny profesor zmieształ się, porwał za kapelusze i mrużąc coś pod nosem chciał odejść; ojciec zastąpił mu drogę:

— Jeszcze chwilę panie profesorze! i obracając się do mnie rzekł:

— Przepróż zaraz pana profesora za tę nową niegrzeczność.

— Nie przeproszę! odpowiedziałem.

— Natychmiast! krzyknął mój ojciec.

— Nie! odpowiedziałem jeszcze raz.

— Przepróż czy nie?

Stanął przedemną trzęsąc się cały od gniewu. Jego twarz przybrała kolor popiołu, na czoło wystąpiły żyły jak gałęzie, oczy błyszczały jak węgle i patrzyły na mnie wyzywająco.

— Nie! wyrzekłem.

Ojciec podniósł rękę ale mię nie uderzył; pomału ręka ta wyciągnęła się ku drzwiom.

— Precz z mojego domu, wyrzekł pomału i silnie, precz na zawsze.

Spojrziałem mu w oczy; chciałem coś odpowiedzieć, może: przebacz mi — ale serce leżało mi w piersiach jak kamień, żeby mi się zacisnęły tak silnie że nie mogłem ani słowa wymówić; postąpiłem spokojny i niemy ku drzwiom. Profesor pobiegł za mną i uchwycił mię za rękę zapewne w najlepszym zamiarze, ale ja widziałem w nim główną przyczynę tego, co między mną a ojcem zaszło; odepchnąłem go silnie, zatrzasnąłem drzwi za sobą, przebiegłem około starej kucharki i wybiegłem na ulicę.

## ROZDZIAŁ IV.

Biegłem jak szalony kilka chwil, naraz kolana ugięły się podemną, domy, cała ulica, błyszczący księżyc wszystko zaczęło tańcować w około mnie w szalonym wirze, oparłem się o mur żeby nie upaść. Jak długo tam stałem nie wiem. Głos dziewczyn idących po wodę do studni przywrócił mi przytomność. Pobiegłem dalej ulicą, z początku krok mój był niepewny i chwiejący się, ale wkrótce silna moja natura odniosła zwycięstwo, nogi odzyskały dawną siłę a umysł swobodę, zacząłem rozmyślać nad tem co się ze mną teraz stanie i dokąd się obrócę. Szukać schronienia w oberży nie przyszło mi na myśl, nigdy jeszcze nie nocowałem pod obcym dachem a zresztą całego majątku miałem jednego talara. Gdybym się był dzisiaj nie pokłócił z Arturem byłbym się może do niego udał, ale iść teraz i jak żebrak prosić o przytułek, na to wzdygała się cała moja natura. A pan Radca handlowy? wszakże ścisnął mi i całował dzisiaj, on mię zapewne przyjmie z radością, da mi przepyszny pokój sypialny...

Marząc o tem świetnym przyjęciu biegłem ciągle w przeciwnym kierunku, na portowe przedmieście. Minałem kilka szynkowni z których rozlegały się hulackie śpiewy majtków. A gdybym tam wszedł, gdybym się między tych hulaków wmięszał i jutro rano razem z nimi jako majtek, popłynął w daleki świat jak mój brat Fryderyk? byłby to straszny cios dla mego ojca! Stracić dwóch synów na morzu. Jerzy! powiedziałem głośno sam do siebie, biedny stary człowiek.

A gdybym się wrócił? Profesora nie ma już zapewne u ojca. Sam teraz w swoim pokoju gniewny i zmartwiony. Gdybym się wrócił i rzekł do niego: wybij mię teraz, wszystko od ciebie przyjmę! Ale niepowróciłem, nie wahałem się ani jednej chwili, miasto już było w tyle za mną, znalazłem się na przedmieściu, na którym stały malowniczo rozrzucone chaty rybackie, tu i owdzie błyszczwały jeszcze w nich radosne światła, tu i owdzie na ulicy i w ogródkach spotykałem wesołe grupy i słyszałem radosne śpiewy i śmiechy, a na trawie i w krzakach świeciły świętojańskie robaczki.

Kiedym wybiegł na otwarte pole stanęła mi nagle przed oczami chata kowala Pinnow. Tam znajdę schronienie krzyknąłem wesoło. Stary musi mi dać łóżko i pościel, szkoda że Klausu zawsze tam nie ma! ale jest piękna Krystyna. Krystyna zawsze mi się podobała, nieraz marzyłem o niej i oprócz dubeltówek i pojedynki kowala może nie mała i ona przyciągała mię do tej chaty. Dziwna lekkomyślność młodości! w jednej chwili zapomniałem i o zgrzyzocie mego ojca i o mojem krytycznym położeniu, wszystko gdzieś ustąpiło na daleki tylny plan, a stanęła na to miejsce przedemną chata kowala i uwijająca się około gospodarstwa wesoła i jasna postać Krystyny. Rozkoszna to chwila kiedy przed młodzieńcem staje kobieta, a on patrzy na nią jakby na anioła który z nieba zstąpił. Co tam szkoła! co tam rodzicielski dom! wszystko to niewola, wszystko to męka.

Marząc tak jak szalony szedłem dalej znajomą ścieżką; po lewej stronie ciągnęła się wązka łąka, po prawej pole z kartoflami, pojedyncze drzewa stały tu i owdzie, jakby jakie nocne strażniki, księżyc spoglądał jasną twarzą na ziemię, morze szumiło gdzieś tam daleko. W tej chwili spotrzegłem że nie miał czapki. Czy bez czapki z domu wyszedłem, czym ją zgubił gdzie w drodze nie pamiętam, tem lepiej! nie będę musiał trzymać jej w ręku a wiatr morski będzie grał z moimi włosami ostudzi gorączkowe skronie. Parę dzikich łabędzi przeciągnęło nademną niewidziałem ich, słyszałem właściwy im żałosny krzyk. „Lećcie z Bogiem! zawołałem, lećcie z Bogiem moi dobrzy towarzysze.“

Jakieś błogie, nieznanne dotąd uczucie splecione z zadumy i rozkoszy przejęło mię całego. Było mi tak jak gdybym chciał rzucić się na ziemię i płakać, jak gdybym chciał wyciągnąć ramiona ku niebu i lecieć gdzieś daleko. Nie wiedziałem wtedy co to znaczy, ale teraz wiem już dobrze.

Było to owe błogie uczucie jakiego doznaje ryba kiedy buja po szerokich wodach, jakiego doznaje ptak kiedy przeryna powietrze. Cudne to uczucie, które przejmaje człowieka kiedy pełen młodości i życia, utopi całą duszę w matce wszech rzeczy naturze. To to uczucie wypędza człowieka z ciasnoty codziennego życia, w której się urodził, na daleki świat, na morze,

na pustynie, na wierzchołki Alp wszędzie gdzie powietrze swobodniej wieje, gdzie wielkie niebo na niego patrzy, gdzie warto życie poświęcić żeby życie zyskać.

Czy taka poetyczna myśl mogła usprawiedliwić ciężkie moje przewinienie, któremu się przeciwko ojcu dopuścił? Czy mogła usprawiedliwić taką nierozważną lekkomyślność z jaką całą moją przyszłość stawilem na kartę? Zapewne nie. Ale nie nie usprawiedliwiam i nie nie potępiam, opowiadam po prostu co się we mnie działo wtedy i w wielu innych okolicznościach później. Dodaję zaraz na pociechę dojrzałych myślicieli, że jeżeli moje postępowanie było karygodne o czem nie wątpię, to kara ta dosięgła mnie prędko i twardo.

Ale jak powiedziałem troska o przeszłość i frasnęk o przyszłość dalekie były w tej chwili odemnie.

Biegłem coraz prędzej, kiedy na zakręcie ścieżki ujrzałem dwie postacie, które nie miały w sobie nie przerażającego, bo stały, objawwszy się rękami, jakby zrosłe razem i kiedy nagle przed nimi stanąłem, krzyk przestraszenia wyrwał się z ich piersi. Dziewczyna schyliła się po koszyk który stał na ziemi, a mężczyzna coś mruknął pod nosem.

— Dobry wieczór powiedziałem, spodziewam się że...

— Jezu Chryste, czy to pan zawołał chłopiec, Krysiu! czy widzisz to on! i Klaus zatrzymał Krystynę Mowę za suknię, która już uciekać chciała.

— A prawda! to on! wyjąkała Krystyna, której nawet widok dobrego przyjaciela nie mógł uspokoić. Chociaż stosunek jaki widocznie między Klausem i Krystyną zachodził nie potrzebował wcale objaśnienia niemam mię jednak zadziwił. Kiedy Klaus był jeszcze u Ojca nie zauważyłem nigdy żeby w sercu tego dobrego chłopaka tlało jakie silniejsze uczucie dla jego ładnej przyrodniej siostry. Prawda że to już cztery lat temu, że Klaus miał już dwadzieścia lat teraz i że zapewne samo rozłączenie się ich obudziło tę miłość, która bez tego byłaby spokojnie sobie drzemała w ich sercach.

Domysły moje sprawdzili sami kochankowie. Idąc dalej drogą rozmawialiśmy serdecznie o naszych losach i nieraz nasuwały się nam rozmaite drażliwe punkta, a najdrażliwszym z nich było to że stary Pinnow okazywał widoczną niechęć do tego stosunku dwojga młodych. Klaus nie powiedział mi tego, ale słyszałem od wielu osób że i stary dziwnem okiem spoglądał na swoją ładną wychowanicę, i że chociaż syn jego nigdy w niczem mu się nie sprzeciwił, chociaż był zawsze posłusznym synem, mimo to wszystko stary kowal codziennie, co tydzień stawał się pochmurniejszym i zgryźliwszym. Przyszło wreszcie do tego, że mu zabronił przychodzić do siebie pod pozorem, że czasu nie marnował. Dla tego to kochająca się para zmuszona była widywać się potajemnie, co zresztą nie było łatwą rzeczą, bo stary był przezorny i czujny.

Rzadko kiedy pozwalał Krystynie iść do miasta, a chociaż trzeba było rozmaite sprawunki do domu robić, posyłał zawsze swojego terminatora, głupiego Jakóbka, którego wszyscy oszukiwali, mimo to kowal nie puszczał Krystyny.

Ponieważ z Klausem przeżyłem nie jeden wesoły rok na lądzie i na morzu, ponieważ serdecznie go lubiłem, ponieważ wesoła, miła i dobra Krystyna ujęła mię za serce to przyznam się że ich miłość i jej skutki daleko żywiej mię teraz obchodziły niż własny mój los.

Wtedy dopiero pomyślałem o sobie kiedyś przed kuznią stanęli, kiedym zobaczył oknem mocny ogień na kominie a przy nim wieczere, kiedy Klaus oświadczył mi że trzeba powrócić.

Wtedy dopiero powiedziałem im, że to nie spacer zapędził mię tak daleko od miasta, i że przybyłem w tę stronę z tym zamiarem, żeby jego ojca prosić o przytułek na kilka lub kilkanaście dni. Oczywiście musiałem im opowiedzieć przyczynę, która mię w tak drażliwym postawiła położeniu.

Usłyszawszy to Klaus widocznie się zaniepokoił; wzięwszy mię za rękę i odprowadziwszy na bok, upominał mię łagodnie i słodko, żebym się dobrze namyślił nad tem co robię.

— Twój ojciec nie jest taki zły, zapewne ci przebaczy jeżeli wrócisz do niego. Ja sam pójdę do niego i wytrzymam pierwszą burzę.

— Ależ Klausie, stary chłopcze! powiedziałem, i tobie nie lepiej się wiedzie jak mnie. Jesteśmy towarzyszami niedoli, twój ojciec zabronił ci wstępu

do swojego domu a mój wypędził mnie z niego, wszak to wszystko jedno.

— O nie mój drogi, ba ja nie zrobiłem nie takiego przez co bym dał mojemu ojcu powód do gniewu, a ty sam przyznajesz, nie bierz mi tego za złe, żeś dzisiaj znowu jakieś głupstwo popełnił.

— Może i prawda! niech tak będzie, ale do domu nie wrócę. Co będę dalej robił sam nie wiem.

Zresztą pogadamy jutro obszerniej o tem, bo przyjdę do ciebie na parowiec i może być, że mi potrafiysz wielką łaskę uczynić.

Klaus oddawna był przyzwyczajony do tego, że mię we wszystkim słuchał, ścisnął mi rękę i rzekł:

— No, dobranoc, do jutra.

Młodzi nie żenując się wcale, serdecznie się uściskali na pożegnanie, Klaus poszedł ścieżką na brzeg morski, a ja i Krystyna ku kuźni.

— Co to jest że stary Pinnow dziś tak długo pracuje! zapytałem się dziewczyny.

— Tak sobie! odpowiedziała.

Zadałem jej jeszcze kilka pytań na które tylko jednosyllabowe odpowiedzi odbierałem. Krystyna i ja byliśmy dawniej najlepszymi przyjaciółmi i wiedziałem, że ona była wesoła i chętna do śmiechu stworzenie. Nie mogłem wyjść z podziwienia co się jej stało i kiedym ujął jej rękę i zapytałem się dla czego się dzisiaj tak niezyczliwie ze mną obchodzi, dziewczyna nagle zapłakała i rzekła:

— Nie idź ze mną do kuźni, bo z pewnością stary cię nie przyjmie.

Te słowa, to ostrzeżenie nie jednego by osłupiło.

Kuźnia była zupełnie samoną, ale stary kowal miał wszędzie dobre imię a nie mogłem przypuścić, żeby tak naprędce ni z tego ni z owego spadła na mnie jedna z tych romantycznych powieści o zbójcach, w których córka zbója ukrywa zbłąkanego bohatera i uwalnia go od śmierci, za co on w najpiękniejszych wyrazach oświadcza jej swoją miłość. Myśl moja poszła innym kierunkiem.

Jeżeli stary kowal był zazdrosnym względem własnego syna, to może się i mnie oberwać co z jego zawziętości, względem takich chłopaków jak ja.

W tem poczułem mocny ból w nogach, ogromna postać kowala pokazała się we drzwiach, a znajomy głos starego Pinnowa zabrzmiał głębokim basem.

— Kto tam?

— To ja mój dobry przyjacielu, ja Jerzy Hardtwig i wyrzekłszy te słowa kopnąłem nogą małego taksa, który mię w nogę ukąsił.

Krystyna musiała przechodząc koło kowala, powiedzieć mu po co przyszedłem, bo stojąc we drzwiach i nie ruszając się z miejsca odezwał się do mnie:

— Nie mogę pana przyjąć do siebie, mój dom nie jest oberżą.

— Wiem o tem kochany Pinnow, odpowiedziałem przybliżwszy się do niego i podając mu rękę — ale myślałem że jesteś moim przyjacielem.

Stary nie przyjął mej ręki mrucał tylko po cichu, ale nie wiem co.

— Do domu nie wrócę bądź pewny. Nie ścierpisz zapewne tego, żebym spał na łące pod gołym niebem, wpuść mię więc do domu, zrób dla nas grogu, jak to wiesz, pół wody i pół araku a kiedy wypijemy po parę szklanek, to ci przyjdą lepsze myśli do głowy.

Powiedziawszy to położyłem moją prawą rękę na ramionach niegościnnego kowala i na znak mej serdecznej dla niego życzliwości wstrząsnąłem nim z całej siły.

— Zdaje mi się że pan chcesz starego słabego człowieka wepchnąć do jego własnego domu, zawołał z gniewem i w tej chwili uczułem jak dwie szerokie i twarde jak żelazo ręce, należące do starego słabego człowieka, spuściły się na moje ramiona. Krew nie ostygła jeszcze we mnie, gniew zaczął wrzeć w moich piersiach, a zresztą była to śliczna sposobność doświadczyć mej nadzwyczajnej siły na takim przeciwniku. Uchwyciłem go nagle za biodra, usunąłem go z progu i pchnąłem o parę kroków od siebie.

Nie miałem wcale zamiaru wdrzeć się gwałtem do jego domu, ale kowal który właśnie tego się obawiał i przeskodził temu pragnął, rzucił się na mnie z taką gwałtownością, że musiałem zebrać wszystkie moje siły żeby mu się oprzeć.

Nieraz już nocowałem się i zawsze byłem zwycięzcą, ale takiego przeciwnika jak kowal nigdy jeszcze nie spotkałem. Litość mię jednak wzięła nad starcem, uchwyciłem go za rękę i ścisnąłem je z całej siły, prędko jak błyskawica ująłem go wpół, podniosłem trochę od ziemi i już miałem go rzucić na piasek, kiedy nagle głośny śmiech rozległ się w blisko-

ści. Puściłem kowala, który jak tylko poczuł że jest wolny rzucił się znów na mnie. Nie spodziewając się tego nowego napadu, straciłem równowagę i upadłem na ziemię, a na mnie powalił się mój przeciwnik. Uzułem jego żelazne ręce na mojej szyi, kiedy nagle śmiech ustał a na jego miejsce odezwał się dźwięczny głos:

— Wstydz się stary bić się z takim młodym chłopakiem! i dwie ręce, także niepospolicie silne oderwały kowala odemnie. Zerwałem się na nogi i stanąłem przed moim zbawcą bo go tak muszę nazywać, gdyby nie on Bóg wie co by się było stało.

(d. c. n.)

## Korespondencja z Paryża.

O ile sobie przypominam, w dniach poprzedzających Boże Narodzenie, Warszawa nadzwyczaj była ożywiona handlem choinkami, które poustrajane w różnokolorowe papierki, i umocowane w drewnianych podstawach, zalegają cały plac za Żelazną bramą. Widok to bywa dosyć miły, na chwilę z bruku ulicznego wyrasta sosnowy las, karłowaty co prawda, ale zielony i aromatyczny, jakby stał wśród przestworów polnych zachwycony otaczającą go ciszą.

W Paryżu choinkowy ten zwyczaj nie przyjął się, symbolizowanie radości chrześcijańskiej zielonemi gałązkami sosniny niosącemi dla dziatwy kolendowe dary, nie zyskał prawa obywatelstwa. Działwa jednak nie zostaje zapomniana, a przy niej i starsi korzystają. W tym celu przed Świętami ustawiają przy samych bulwarowych chodnikach, małe przenośne sklepiki pełne stosów najrozmaitszych przedmiotów, należących niby do pożytku lub chwilowej zabawy, pomiędzy którymi głównie, figurują kwaśne pomarańcze, dość niesłodkie pierniki i drogie klejnoty wszelkiego rodzaju jak brosze, pierścienie, łańcuchy, zausznice, spinki i. t. p. Wszystko to błyszczący, migoczący, ńci, a takie zgrabne i gustowne, tak powabnie wdzięczy się, że niepodobna oprzeć się czarodziejskiemu urokowi, i czy ci się na co przyda czy nie, kupujesz choćby tylko dla przypatrzenia się i pokazania drugiemu. Wydatek na to niewielki, frankiem lub pół frankiem opłacić zwykle można wartość najdroższego klejnotu, których choć tysiące co chwila przechodzi w ręce ucieszonych nabywców, ubytku jednak nie nie znać taka ich wszędzie mnogość nieprzebrana.

Innych drobiazgow niepodobna opisać, znajdziesz tam wszystko, najroznorodniejsze cacka, piłki, wolanty, lalki, wózki, łamigłówki, skoczków, poliszeneli, broszurki z piosnkami, nuty ryciny, karykatury, często bardzo dowcipne, pomiędzy którymi mieszczą się i osób znajomych, przez agitacje polityczne wydobytých chwilowo na widok publiczny. Deputowany Rochefort prym trzyma między innymi. Sam widziałem kilkanaście różnych postaci w jakich dzwiga brzemie swego posłannictwa. Każda z nich dosyć dowcipna, a do najzabawniejszych należy wyrobiony z gutaperki, w jednym ręku trzymający lont na długim kiju, w drugiej latarnię mieszczącą w sobie małą armatkę. Za pociągnięciem sznurka, figurka przedstawiająca Rocheforta lont zbliża do armatki, i w tej chwili z otworu działa wybiega mysz i zaraz chowa się w swe ukrycie. Jednocześnie figurka przewraca oczy i robi minę tak desperacko żałośliwą, tak nóżkami zabawnie wybija cholupca, że od uśmiechu nie podobna się wstrzymać. Jest to drobnotka, ściągająca jednak wielkie tłumy widzów, świadcząc o korzystnym przewrocie wyobrażeń paryżkich mieszkańców, otrzeźwionych z chwilowego oszołomienia. Wróży to bardzo dobrze o przyszłości. Naród co sam uzurpowanych bohaterów ośmiesza, nie wejdzie już na drogę którą go chcieli poprowadzić. Parlamentaryzm i swoboda prasy dla skoczków politycznych nie dają pola do popisu. Rozjaśniając najzawilsze kwestje, skłaniają umysły do rozwagi i zastanawiania się, i stają się najdzielniejszą bronią do niszczenia wszelkich zachciewek wydzierania siłą potrzebnych zmian w układzie społecznego porządku.

Dwie te potęgi aby w massach znalazły poparcie, starają się przybrać do wspólnej pracy większą działalność oświaty publicznej. Usiłowania w tym kierunku od lat kilku rozwinięte, już się mogą poszczycić odniesionymi z tą korzyściami. Występki społeczne a nawet zbrodnie, zawsze źródło mają w głu-

pocie ludzkiej. Gdyby bowiem rozum niemi rządził, utajenie przestępstwa byłoby łatwiejsze, tymczasem rzadko które ujdzie ręki sprawiedliwości. A nie trzeba tego kłaść na karb szczególnej czujności osób właściwych, ale na rachunek niedołążności pomysłu i nieobrachowania się ze wszystkimi okolicznościami i następstwami. Przestępca zawsze nierówną stawkę rozgrywa, i więcej bez porównania ryzykuje jak spodziewa się wygrać.

Przedewszystkiem zapomina o zgrzycie sumienia, tym największym czynniku serca, który go zdradzi na każdym kroku, spojrzaniem, gestem, poruszeniem, wreszcie czynnością jakąś dziwną a jednak zupełnie naturalną, jako nie wypływającą z harmonijnego nastroju duszy. Przytem nie bierze w rachubę wstrętu opinii publicznej, podejrzliwej a czynnej, przed którą niezagrziebie się w ziemię, i nie uleci jak ptak w powietrze. Pomijanie tego to szczyt najwyższej głupoty. Wyzuć się z uczuć ludzkich niepodobna, a jeżeli zdarzają się podobne przykłady, to są tak rzadkie że je śmiało do wyjątków policzyć należy.

Przypuścimy jednak że winowajca uniknął schwywania, że tam gdzieś na końcu świata korzysta z owoców swego przestępstwa choćby te i miliony wynosiły. Czyż obawa, niespokojność wydania się zbrodni, pamięć dokonanego czynu, nie będą go ścigać w dzień i w nocy, i życia nie przemienią w piekielne tortury? Czyż męki te wynagrodzą mu korzyści z nieprawnie nabytego mienia? Brak pod tym względem zastanowienia, to nowy dowód głupoty zbrodniarza, zniszczcie ją a zbrodnie się zmniejszą.

Weźmy na dowód potworną zbrodnię Traupmana. Coż go do niej popchnęło? Żądza prędkiego z bogacenia się. Ależ pomordowane ofiary nie były kapitalistami, a owe kilka tysięcy franków a choćby i kilkanaście, jakie spodziewał się złapać czyż go mogły zrobić do tyła bogatym, aby warto było tak się na to narażać. Być może że ta kwotka w pojęciu jego stanowiła zdobycz godną zaryzykowania się, w takim razie był głupcem bo nie znał dobrze wartości pieniędzy.

Jeżeli zaś sądził że potrafi się przedziernąć w osobę swęj ofiary i tym sposobem osiągnąć jej mienie, dał dowód jeszcze większego głupstwa, bo najgrubszej nieznajomości form prawnych do urzeczywistnienia zamiaru swego koniecznych. W każdym więc razie zbrodniarz czy przestępca, to wierutny głupiec, bo chwytając się środków bardzo ryzykownych do z bogacenia się, a pomija pewne jakie mu przedstawia praca. Traupman wprawdzie nie jest prostakiem, posiada wiadomości naukowe nadające mu nawet pozór cywilizacyjny, ale wiadomości to nie światło wiedzy, można wiele umieć a być głupcem najwyższego stopnia.

Nie idzie mi tu jednak o Traupmana: społeczność szkodliwą jednostkę czy z głupoty czy ze złości ma prawo usunąć a przynajmniej zabezpieczyć się od jej przewrotności. Nie zaprzęta ona się przyczynami tylko szkodami jakie przynosi, roztrząsanie zaś przyczyn należy do rządów i prawodawców ludzkości, wreszcie do każdego co się czuje obywatelem.

Oświata daje rozum a więc niszczy głupotę, ale tylko wtenczas, jeżeli z nauką działanie na podniesienie moralne razem idzie w parze. Cóż przyjdzie człowiekowi ze znajomości dziejów Aleksandra, Cezara lub Karola W. równań algebraicznych, twierdzeń matematycznych, z wiadomości dotyczących budowy światów, sił natury, własności pierwiastków, życia roślin, zwierząt a nawet ludzi, jeżeli przytem znać nie będzie obowiązków względem siebie i społeczności, prawd moralnych, potęgi pracy i sił danych mu od natury, słowem nie będzie posiadał nauki życia i warunków służących do zdobycia tak upragnionego przez wszystkich szczęścia? Dotąd nauka życia nie ma miejsca w wykładach szkolnych, kurs moralności po szczypcie w ogólnikach udzielany braku tego nie zastąpi, a umiejętności życia ludzie nabywają jedynie praktyką i to w czasie kiedy już umieć żyć powinni. Kurs więc podobnej nauki jest koniecznym, zarówno w szkołach jak w szkółkach, a suche na pozór wykładane w nim zasady, ożywione przytaczaniem przykładów z życia ludzkiego, z poglądem krytycznym i rozumem wyrozumowanym wszelkich ich czynności, obudzając zajęcie wdrażałyby się na zawsze w młodociany umysł, ucząc się młodzieży i byłyby wiernym stróżem przyszłych czynów jej żywota.

W korespondencji obszerny wykład rzucenój tu myśli jest niepodobny. Gdybym nie lękał się znudzić Was, przestałbym jedną z lekcji podobnych ja-

kich już kilkanaście przygotowałem. Czy myśl ta znajdzie kiedy urzeczywistnienie, prorokować niepodobna, dziś jest tylko pewnikiem że we Francji wpływ oświaty widoczny. Według bowiem raportu ministra sprawiedliwości, od lat kilku corocznie zmniejsza się ilość zbrodniczych zamachów nacechowanych upadkiem moralności. Przed rokiem 1860 na stu przestępców kryminalnych, czterdziestu umiało czytać i pisać, dziś trzydziestu nie jest ciemnych zupełnie, więc o dziesięciu liczbą zmniejszoną została. Że zaś wpływ to powiększania oświaty w narodzie, o tem nie można powątpiewać, bo pomniejszanie przestępstw między cokolwiek wykształconymi nie nastąpiło odrazu, ale wolno, corocznie a rozpoczęło się wraz z działaniem rozszerzania edukacji publicznej. (d. n.)

## PRZEGLĄD

### LITERACKI, ARTYSTYCZNY, TEATRALNY I RÓŻNE WIADOMOŚCI.

**Kronika teatralna.** *Benefis pani Modrzejewskiej dnia 12 Stycznia b. r.* — „Romeo i Julija, tragedia Szekspira, w pięciu aktach”. — Odbyła się więc zapowiadana podwójna uroczystość sceniczna: znakomita artystka polska tłumaczyła nam jedno z przedniejszych dzieł angielskiego, powiedzmy raczej, wszechświatowego wieszczu dramatu. Rozprawa p. Kaszewskiego uwalnia nas od przytoczenia treści *Romea i Julji*, pozostaje nam tylko wskazać jak arcydzieło to wyszło na scenie naszej. Już to, jak prawie zwyczajnie, pierwszy głos w tym hymnie miłości na tragiczną nastrojonym nutę należy się pani Modrzejewskiej: pojęcie przez nią tej eterycznej postaci, tej róży italskiej zaklętej w dziewięć, którą Szekspir przezwiał Julją, było tak dokładne, a gra tak skończenie wystudowaną, że chciawszy zalety jej skreślić, trzeba by zastanawiać się niemal nad wymowieniem każdego zdania, nad każdym poruszeniem, nad spojrzaniem każdym. Pomijamy już dosyć powszechne w dramatach wybuchy cierpień i zgrozy, jak scena przymusu zadawanego jej przez rodziców, pomijamy scenę z Laurentym i po jego wyjściu, przed wypiciem narkotyku, które odegrane były z całym zasobem środków dramatycznych; — ale kto nie słyszał, ten nie w stanie jest pojąć jaki urok tchnął z duszy artystki w tej sławnej tak zwanój scenie *bal-konowej*, w której co tylko najszczytniejszego zawrzeć mogła poezja miłości autor włożył w us'a Julii i kazał za sobą powtarzać aktorce. Słuchając też słów jej, przestaliśmy być sobą, zapomnieliśmy wszystkiego co było około nas, artystka na skrzydłach swych słów przeniosła nas gdzieś w świat upojenia i czysto duchowej rozkoszy, w którym człowiek zdolny jest ścigać umysłem jedną tylko myśl, jedno uczucie, na podobieństwo téjże samej Julji, która w tej chwili całą swą istotą zamieniła się w jedną miłość. Już to nieraz mieliśmy sposobność na tem miejscu zaznaczyć, że *czułość* jest przeważną potęgą talentu pani Modrzejewskiej: tu doszła ona za sprawą samej poezji do swojego apogeum, nigdzie już chyba piękniej, czulej i wznioślej nie przemówiła pani Modrzejewska, chyba gdyby jej drugi Szekspir nastęrczył do tego sposobność. Publiczność też frenetycznym oklaskiem sławiła swą artystkę, potop kwiatów rzuciła jej pod nogi, a na jej piersi żywiącej tyle twórczego zapалу, w pamięci tej chwili podwójnie uroczystej zawiesiła pamiątkowy medalion.

Nie to wreszcie dziwnego że pani Modrzejewska odegrała dobrze swoją rolę: ona źle grać już nie może, ona może mieć tylko mniej lub więcej szczęśliwe role, mniej lub więcej talentu jej godne, a dotychczas za jedyne godne uważamy tylko: *Śluby panieńskie*, *Donnę Dianę* i *Julję*, i przykro nam nawet patrzeć jak się taki talent profanuje w *Adriannach* lub *Dumasowskich kreacjach*, w których krykliwość i łamane sztuki uczucia zastępują poezję. Bądź co bądź, nie zastanowiło nas to, że pani Modrzejewska grała dobrze rolę Julji, obawialiśmy się raczej o *Romea*. P. Wardzyński nie dorównał swęj towarzysze, i tego nikt po nim ani żądać ani oczekiwać nie mógł, zrobił on jednak bardzo wiele bo przeszedł nasze oczekiwania. Nie zyskał on silniejszego i dźwięczniejszego głosu, ale stracił krykliwość, ruchy jego były mniej szorstkie, większa miara w akcji, słowem, rolą *Romea* p. Wardzyński wyszedł pierwszy raz dopiero ze sfery początkującego dyletanta

i wkroczył w koło artysty, brzegów się jeszcze atoli trzymając. Scena pod balkonem była jeszcze nieco zimną, jeszcze w tym miłosnym duecie tenor dalekim był od sprostowania sopranowi, ale za to scena z Laurentym wyszła dziarsko, energicznie, młodzieńczo, a z tem wszystkim w artystycznej mierze: scena ta, to pierwszy i istotny tryumf p. Wardzyńskiego, pierwsze jego niezaprzeczone a ważne zwycięstwo nad trudnościami zawodu. W ogóle całe jego zachowanie się na scenie było takie, iż pierwszy raz można było śmiało powiedzieć że *grał*, i dał nam odtąd niejaki prawo sądzenia go nadal nie już po-błażliwym okiem protekcji, ale miarą ściślej artystyczną.

Z postaci drugorzędnych głównie odznaczył się p. Stolpe, w roli krotocwilnego a jednak rycerskiego *Merkutia*; humor nieklamany towarzyszył mu aż do śmierci i przy śmierci. Panna Micińska, w roli *Marty*, miała wiele trudności do pokonania, i wyszła z nich dosyć szczęśliwie: pp. Grzywiński, (Kapulet) Piasecki (Tybalt), i Kwieciński (Parys), jeśli nie uświetnili to przynajmniej nie psuli swych ról, nawet p. Damse prawie milczącą rolę sługi ożywił i ubarwił akcją i tonem, prawdziwie z piasku bicz ukreślił, pojął to, że żadna nawet najdrobniejsza postać w Szekspirze nie może być błędą. Tylko pani Niewiarowska (matka Julji) i p. Szymanowski (Benvolio) nie byli ani chwili na swoim miejscu: pani Niewiarowska ani giestem, ani deklamacją bynajmniej nie przypominała dumnej, arystokratycznej damy, nawet w scenie przymusu sadzeniem się na okrucieństwo, rzec można nie do zgrozy ale pobudzała do śmiechu; zaś p. Szymanowski był tak błędym i nic nie znaczącym że bezpiecznie sufler mógłby go być zastąpić.

Całość z tem wszystkim wyszła dosyć okrągło, pomimo że jedenaście zmian w ciągu wieczora, to rzecz dla słuchacza nieco utrudniająca. Ale cóż robić z Szekspirem? W texcie oryginalnym jest ich jeszcze więcej, i trudność zachodzi niemała, ażeby bez nadwężenia tekstu w myśli głównej zredukować te tak częste zmiany w Szekspirze. Niewiemy kto tę tragedję układał na naszą scenę, ani kto ją tłumaczył: układ jednak, jest, zdaje mi się, ten sam którym posługują się teatry niemieckie, a przekład jakiś składowany, bo przypominały się nam w nim i wiersze Mickiewicza i innych tłumaczy, lecz w ogóle język bardzo dobry i styl obrazowy. X.

**Prelekcje** na korzyść Towarzystwa Dobroczynności odbywają się ciągle według zapowiedzianego porządku, ściągając grosz do ubogiej kasy tej Instytucji. Sprawozdania z nich szczegółowego nie podobna nam zdawać, upodobanie w podobnie naukowych rozrywkach widocznie się coraz pomyślniej rozwija, i aby tylko temata starannie były dobierane, nie ma wątpliwości że dotychczasowa setka słuchaczy wprędce do kilku podróśnie i zmusi do zmiany miejsca na obszerniejsze.

W przeszłym numerze w kwestji tej liczne pomieściliśmy uwagi, robiąc główny nacisk na obniżenie ceny wejścia, aby i klasa rzemieślnicza mogła z wykładów korzystać. Obstawiając przy tem żądaniu, rzucamy myśl wzięcia za temat telegraf elektryczny, w którymby prelegent dając stosowne objaśnienia, popierał wykład odpowiednim przyrządem. Mógłby przytem dać ogólny obraz niektórych własności elektryczności, rozpuszczania przez nią związków metalicznych, zastosowania tego do galwanoplastyki, przemieniania żelaza w magnes, a wreszcie własności stosu i całego przyrządu telegrafu.

Być może że jedna prelekcja byłaby na to zamała, można więc dwie jej poświęcić:— być także może że teatrzyk Tow. Dobr. byłby za szczupły, czyby więc podobny wykład nie dało się urządzić w Resursie obywatelskiej?

Radzilibyśmy tylko na prelekcje wybrać dzień świąteczny w południe o pierwszej, w chwili ukończenia nabożeństwa, i cenę wejścia najwyżej na złotówkę ustanowić. Jesteśmy przekonani że przedmiot ten jako ciekawy i w żadnym opisie książkowym niemożący być dokładnie zrozumianym, ściąganie znacznej liczby słuchaczy, a nawet kto wie czy nie zmagli do powtórzenia lekcji. Byłbym nawet za wynagrodzeniem trudów podjętych przez prelegenta, bo nauka złotem nie obsypuje swych przedstawicieli, a nawet przeciwnie z darów fortuny prawie zawsze wyłącza. Spróbować nie zaszkodzi: Tow. Dobr. jesteśmy pewni że zrobi dobry interes.

Drugim przedmiotem równie interesującym mogłaby być sztuka fotograficzna, z przedstawieniem rozkładu światła przez pryzmat i wszystkich zdobyczy widmoskopu.

## O UBIORACH.

### Korespondencja z Paryża.

W ubraniach dzisiejszych w ogólności, zaczawszy od balowych aż do kostiumów przeznaczonych na ulicę, zaczynamy dostrzegać trochę więcej prostoty. Największe panie paryżkie dają pierwszy popęd do tak pożądanego zwrotu. Opiszemy tu kilka toalet które nam się widzieć zdarzyło.

Suknia balowa przygotowana dla młodej mężatki, wcale nie powłóczyła zaledwie dotykająca ziemi, z różowej gazy jedwabnej, miała u dołu dwa wolanty średniej szerokości przymarszczone, objęte rulonikiem. Nad wyższym wolantem szła woda także sama, z wypuszczoną z obu stron główką. Na to spadała tunika dosyć długa w tyle, krótsza z przodu, podpięta po bokach na kokardy, ogarniowana jednym wolantem i wodą. Tunika ta była tak urządzona że mogła tworzyć powłóczyły *traine* (płaszcz dworski) lub też zostać podniesioną podczas tańca. Staniczek do tego wycięty, przybrany falbanką, upiętą w kształcie szelek. Rękawki krótkie, małe, tworzące bufkę.

Bukiecik z róż nad czołem pomiędzy niobami stanowił całe ubranie głowy. W miejscu warkocza spadały długie loki.

W teatrze uważaliśmy bardzo ładną suknię z gładkiego poult de soie *vert anglais*. Suknia tem się odznaczała, że nie miała żadnego garnirunku lecz była powłóczyła. Stanik gładki pod szyję, miał karczek oznaczony czterema rulonikami z białego atlasu. Poniżej paska objętego białym rulonikiem, spadały z przodu dwie klapki kwadratowe naszyte równie dwoma rulonami. Z tyłu dwie dłuższe klapki, tworzyły jakby szarfę. U rękawów, mankiety muszkieterskie, objęte były niemniej podwójnym rulorem. Kołnierzyk do tego składał się z nafałdowanej fryzki walansienowej z długim dosyć załobem. Z pod rękawów spadała marszczona walansiena.

Z ubrań wizytowych odznaczał się piękny kostium, złożony ze spódnicy czarnej atlasowej gładkiej, powłóczyłej na kilka cali i z surducika czarnego aksamitnego dosyć długiego wciętego do stanu. W tyle wzdłuż surducika przechodził rząd atlasowych guzików. Rękawy były szerokie, spadające, obszyte wązko tumakami, równie jak i cały surducik. Kołnierza futrzanego nie było wcale tylko małe boa tumakowe. Także małeńki mufek dopełniał ubrania. Kapeluszek do tego czarny aksamitny, małeńki, przybrany był różami w kolorach różowym i szarawym.

Inny kostium przeznaczony na ulicę, tybetowy w kolorze jasno brązowym (maron), miał spódnicę do ziemi naszytą trzema ciemniejszymi plisami z aksamitu. Po obu stronach plis wychodziła wązka jedwabna wypustka. Paletot do tego obcisły, tworzył z przodu jakby dwa końce od mantyli ścięte kwadratowo, obszyte plisą aksamitną i przypasane paskiem. Tylne bryty mocno namarszczone, tworzyły baskinę. Pasek aksamitny spinał się z przodu na małą kokardkę, objętą jak i pasek rulonikiem. Kapelusik aksamitny w odpowiednim kolorze, miał długie szarfy donna Marja do okręcenia koło szyi. Róża wpięta nad czołem, stanowiła główną jego ozdobę. Rękawiczki do tego duńskie. W tym roku więcej niż dawniej widzimy w Paryżu futrzanych okrywek, bo też zima daje się dosyć ciężko we znaki. Widzieliśmy ładne paletociki z czarnego sukienka, okładane tumakami, skonksami albo wydrą. Zamiast kołnierzy futrzanych dają tylko wązkie obłożenie lub noszą krawatkę futrzaną. Pod jedwabne i aksamitne okrywki używane popielate futerko zwane *petit gris*, są to po prostu bieliski bez czarnych ogonków.

Fryzy najmodniejsze zawsze. Do sukien półotwartych z przodu, jakie dziś ogólnie przyjęte, fryza muslinowa lub koronkowa stanowi śliczne dopełnienie. Rękawy podgarniowane ruszką odpowiednio. Do

sukien zamkniętych noszą zarówno fryzy, przybrane z przodu klapkami rozmaitej długości, lub też kokardę ze wstążki z wystrzępioną frendzelką u brzegu

S. z Ż. D.

Przy obecnej porze karnawałowej, sądzimy że będzie nader pożądana wiadomość o rękawiczniku, zajmującym się głównie praniem rękawiczek.

Jest nim p. Barbier mieszkający przy ulicy Miodowej N, 17 nowy. Za pranie rękawiczek glansowanych bierze po kop. 10 od pary, a od duńskich po 12½ kop. Polecenie to tym chętniej czynimy, że p. Barbier z pracy swój wywiązuje się nader starannie, i wypranym przez siebie rękawiczkom nadaje pozór zupełnej świeżości.

### Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszewego.

#### N. 17. Ubranie dziecka od 1—2 lat.

Biała kaszmirowa lub alpakowa sukienka, ubrana garnirunkiem w zęby, z kolorowego aksamitu, lamomanego białą materją, lub łabędzim puszkciem. Pasek z klapkami z tegoż materiału.

#### N. 18. Domowe ubranie.

Jednokolorowa suknia gładka, z krótkim aksamitnym lub sukienym kaftanikiem. Fryzka i mankiety muslinowe. Fartuszek jedwabny czarny z riu-szami i frendzlą.

#### N. 19. Strój balowy.

Najwięcej używają w tym celu, suknie tarlatanowe, gazowe lub tiulowe na kolorowej jedwabnej. Model składają przezroczyste buffy i zakładki; szarfa z paskiem z kolorowej wstążki, odpowiada ubraniu berty i włosów.

#### N. 20. Ubranie małego chłopczyka.

Krój kaftanika na dodatku N. VI Fig. 17—21.

Spódniczka z czerwonego kaszmiru, sutaszem czarnym wyszyta. Luźny kaftanik z szerokimi rękawami, przepięty paskiem, aksamitny czarny, lamowany materją czerwoną, z czerwonymi guzikami. Rękawy muslinowe; kołnier i mankiety z płótna. Przy krajaniu kaftanika podług Fig. 21 uważać należy na długość fraczka i rękawów.

#### N. 21. Spacerowe ubranie dla młodych pańienek.

Suknia „robe ronde“ w pasy, przybrana ukośnymi plisami materiału albo aksamitną plisą. Paletocik aksamitny czarny z pliskami i szarfą atlasową czarną. Kapeluszek tyrolski.

#### N. 22. Kostium dla dziewczynki do lat 12.

Krótką sukienka z fałdowaną baskiną, z jednokolorowego materiału, ubrana zakładaną falbaną materiału i aksamitną czarną plisą.

#### N. 23. Ubranie na obiad.

Suknia z podwójną spódnicą, bardzo mało powłóczyła przybrana riuszami, falbankami materiału i aksamitką; stanik pod szyję z aksamitnymi wykładami; szmizetka i mankiety koronkowe.

## N. 24. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka o podwójnej spódnicy, jedna jednokolorowa druga w rzucik, albo z jednego materiału obie. Przybranie stanowią buffy, falbanki i riusze.

## N. 25. Ubranie na koncert albo do teatru.

Do gładkiej jedwabnej sukni kolorowej, dodany głównie przystrojony stanik tiulem, gazą, atłasem lub aksamitem w kolorze spódnicy; można dać także do czarnej sukni czarną aksamitką naszytą u dołu, aksamitne przybranie, na staniku z tiulowymi bufami czarnymi.

## N. 26. Strój balowy.

Pokrycie prawie całej sukni, czarną koronkową mantylą, odpowiednio ułożoną, niewymaga zupełnie świeżej materji. Jeśli mantyla nie ma falbany, można dać u dołu w miejsce koronkowej, jak na modelu, jedwabną z materiału sukni, lub tiulową czy gazową garnirunek. Mantyla układa się górnym brzegiem, w koło stanika, aby tworzyła z przodu okrągłe, i podpięte zęby, a końce schodziły się z tyłu jak szarfa, uzupełniona piękną kokardą ze wstążki z końcami, i drugą bez końców poniżej. Kwiaty podpinają tę tunikę z boku. Berta powinna być także koronkowa czarna.

## N. 27. Domowe ubranie dla młodych kobiet.

Suknia w szkockie kraty; spódnica gładka lub przybrana falbankami, ukosami itp.

Stanik ozdabia kołnierz marynarski (Obacz krój na dodatku N. 3) aksamitny czarny lamowany atłasem; ostatnie obadwa materiały użyte na szarfe.

## N. 28. Ranne negliżowe ubranie.

Opis i krój na dodatku N. 1 Fig. 1—6.

## N. 29. Suknia wizytowa.

Suknia gładka w pasy, oszyta u dołu szeroką czarną aksamitną plisą materją lub atłas dane w rodzaju ranwersów, naśladują podwójną spódniczkę. Kaftanik weinany bez rękawów, z czarnego aksamitu, ma odpowiednie wykłady przy rękawach w pasy; szmuklerska torsada w tureckim guście, lub szlak haftowany, stanowią jego ozdobę.

## N. 30. Kostium dla małej dziewczynki.

Szkocka sukienka kaszmirowa, ma tunikę i gorsecik czarny jedwabny, ozdobiony bufą i zębami oszytymi czarną aksamitką.

## N. 31. Spacerowe ubranie dla małej dziewczynki.

Sukienka i okrycie „Metternich“ z brązowego lasingu, garnirowane czarnym lub ciemno-brązowym aksamitem.

## N. 32. Kostiumowe ubranie.

Jedwabna lub wełniana suknia w kolorze śliwkowym, ubrana jest falbaną i aksamitką. Ten rodzaj garnirunku 24 cent. szeroki, widzimy na dole niedotykającej ziemi spódnicy. Tunika ułożona w tyle „à panier“ podpięta na bokach, składa się z dwóch prostych brytów po 60 cent. długich, które uzupełnione są do przodu 35 cent. długim w górze 23 cent. szerokim kawałkiem materiału, zaokrąglonym, pokrytym później karokiem od stanika przypiętym mocno na guziki. Karok ten formuje z przodu szerokie klapy, z tyłu zaś składa się z prostego kawałka, w pięć kontrafaldów ułożonego, wynoszącego z tyłu 24, z przodu 30 cent. wysokości, 96 cent. szerokości. Kapelusz aksamitny, z takimiż kwiatami i gazowym woalem, dopełnia całości.

## N. 33. Wizytowe ubranie.

Suknia szkocka podwójna, drapowana, z gładkim stanikiem. Spódnica obłożona szlakiem czarnym aksamitnym; takież krótki kaftanik lamowany atłasem. Odpowiedni kapelusz z woalem.

## N. 34. Ubranie chłopczyka.

Kamasze, majtki, kamizelka i kaftanik z jednokolorowego sukna, albo aksamitu, ubrane taśmą i guzikami. Marynarski płócienny kołnierz oszyty drukowanymi perkalowymi pliskami.

## N. 35. Strój balowy.

Suknia muslinowa, lub gazowa przybrana falbankami, riuszami i kokardami z kolorowej wstążki.

## N. 36. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka w jednym kolorze, zafastrzygowana w podłużne zakładki. Kaftanik z podwójnej flaneli, pletnią wyszyty.

## N. 37. Wieczorowe ubranie.

Suknia powłóczysta z jedwabnego rypsu, z krótkimi wierzchnimi rękawami, ubranymi pliską atłasową. Szmizetka muslinowa w zakładki, szeroką koronką obszyta; (Obacz ryc. 29 w Tyg. Mód N. 5.) podobne mankiety.

## N. 38. Strój balowy.

Suknia z powłóczystą tuniką, z ciężkiej matowej materji, ubrana bufami, czarną koronką, aksamitką i rypsovymi kokardami ze wstążki w cieniu sukni.

## N. 39—41. Pokrycie na fotel.

Opis i deseń na dodatku N. 9—12.

## N. 42—44. Bluzka ubrana wszywkami.

Bluzkę muslinową białą, ubierają koronkowe wszywki z aplikacją atłaskową, wąską koronką oszyte, które przytwierdza szlaczek. Na kaszmirowej bluzce, można to zastąpić szlaczkiem wyszywanym kolorowo.

## N. 44. Stanik pod szyję z baskiną.

Krój i opis na dodatku N. II Fig. 7—11.

## N. 45 i 46. Dwa rękawy do sukien.

Krój i opis na dodatku N. III Fig. 12—13.

## N. 47. Medaljon haftowany.

Przeznaczony jako ozdoba krawatek jedwabnych i innych drobnostek medaljon ten na kolorowym kaszmirze lub materji, odrabia się atłaskiem z kolorowych jedwabów, albo w cieniu tła, z dodaniem kilku ściegów złotych nici.

## WIADOMOSCI GOSPODARSKIE.

## Tort orzechowy lub migdałowy.

2 funty orzechów tureckich zważ po obraniu z lupiny i dosyp migdałów oczyszczonych i wysuszonych, aby razem było funt, (jeśli tort ma być migdałowy, nie mieszaj orzechów,) ale weź cały funt migdałów, tłucz w miedzianym przybierając po jednym, jaj 10 całych, tę masę włożoną do donicy kręć, przybierając po jednym, żółtek 24, cukru miękkiego funt, mąki pół funta powoli dosypuje się, aby zupełnie gładka i do piany podobną była, ulej tę massę w rondlelek łyżek 4 a do pozostałej w donicy dodaj dobrze ubitą pianę z pozostałych 24 białek, mieszając wolno najstaranniej. Nalej w dwie tortownice w braku tych wziąć formę lubową ze starego ale czystego przetałka przecięte wzdłuż, aby formowało 2 niskie kręgi, zeszyte szpagatem, ustaw na dece, dając dno z papieru, starannie o brzeg lubiska zawijając papier i piecz w piecu dosyć gorącym, pilnuj aby się upiłek

dobrze, bo niedpieczony opadnie, ale żeby dostał powierzechnię koloru pomarańczowego.

Tort już upieczony i wystudzony przekłada się masą z owych 4 łyżek ciasta do których dolę kwaterek śmietanki i trochę wanilji, mieszając zagotuj i przełóż, cukrem rozrobionym wodą różaną na glazurę przezroczystą, posmaruj obsusz trochę w piecu, wreszcie ubierz podług gustu lukrem białym zrobionym z pół szklanki przez muslin sianego cukru, kropli octu i jednego białka, kręci się dopóki nie dostanie takiej gęstości, że nim można robić na torcie różne wzory z trąbki papierowej w znany sposób wyiskajając, lukier natychmiast schnąć powinien a nie rozlewać się. Pomiędzy wzory z lukru układają się gustownie kolorowe konfitury.

## Owoce w przezroczystym cukrze.

Pomarańcze obrane i podzielone na ich naturalne cząsteczki, delikatnie odłączając pestki, winogrona w małe cząsteczki podzielone np. po 4 jagody razem żeby formowały małe grona, serki z jabłek pokrajane w paseczki, suche z gruszek konfitury, oraz such konfitury śliwkowe najpierw przysposobić.

Karmel biały ugotować z cukru zwykłym sposobem, strzegąc aby koloru nie zmienił i próbując umoczonemi w zimnej wodzie palcami; chwytając prędko gotujący się karmel rozciągając i studząc, próbuj czy stwardnieje jak karmelek, wzięwszy w usta nie powinien przylegać do zębów, ale trzaskać jak szkło.

Jeśli nie ma kamienia do układania owoców, odwrócone dnem do góry duże rondle oczyszczone, posmaruj świeżą oliwą, drewnianymi szczypczykami trzymając za korzonki, owocu najmniej dotykając, po jednym maczaj w gorącym i układaj na przygotowanym rondlu spiesznie, bo jak ostygnie już nic nie wart, odgrzewać się nie da. Do roboty tej niech się od razu dwie osoby zabiorą.

Owoce podrzynają się nożem, a nawet same bardzo łatwo odchodzą; rób je zawsze w tym dniu w którym chcesz użyć, bo tracą kolor i zlepiają się.

Stanisława O.

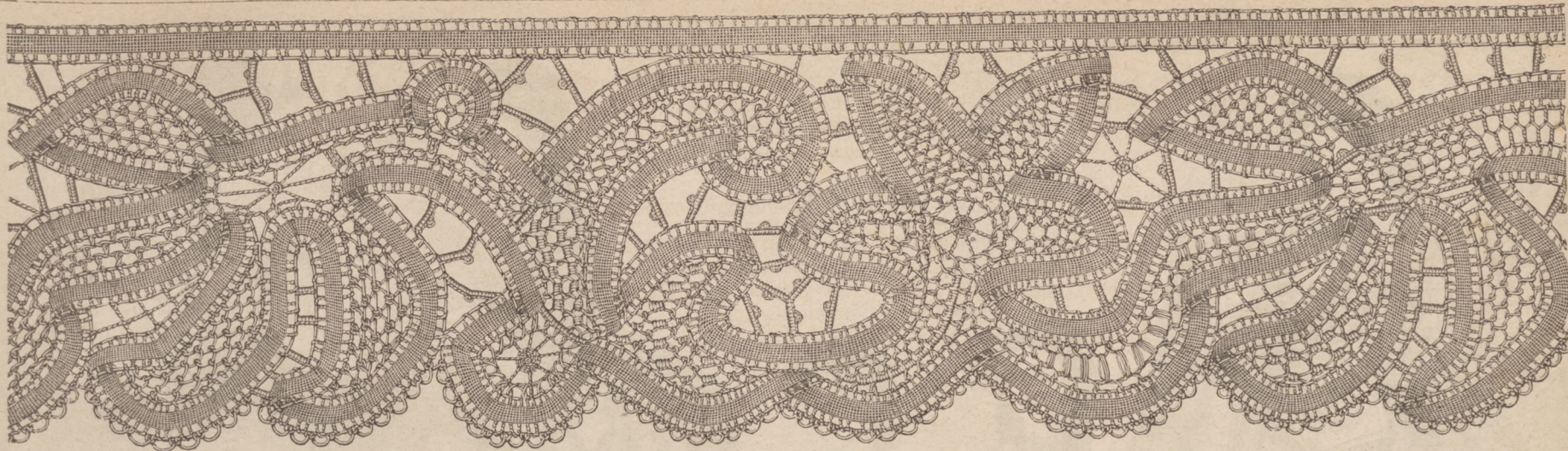
## Kalendarz Rolniczy.

Na rok 1870-ty wydany został w dwóch częściach nakładem Redakcji Gazety Rolniczej. Wydawnictwo to, oddawna pożądane przez obywateli ziemskich, po raz pierwszy wyszło w Warszawie w tej samej objętości i z uwzględnieniem treści, jak rok rocznie podają znani światu agronomicznemu gospodarze niemieccy Mentzel i Lengerke. Od wydawanego przez b. Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskim „Pamiętnika dla gospodarzy wiejskich“, ogłoszony na rok 1870 „Kalendarz Rolniczy“, odróżnia się najprzód cztery razy prawie większą objętością, skutkiem pomnożenia tekstu i podziałem na dwie części, z których pierwsza oprawna, oprócz zwykłych wiadomości kalendarzskich z dodaniem Świąt Rzymsko-Katolickich, podług czasu ich obchodzenia w Cesarstwie, mieści tablice, obejmujące wyliczenia w materjach codziennego niemal użytku gospodarskiego. Również do tej części dodany został rubrykowany konotatnik, do zapisywania każdego dnia spostrzeżeń, notatek lub obliczeń. Ta część kalendarza w wydaniu zastosowana została do formatu kieszonkowego i jako taka, obok pugilaresu umieszczoną być może. Część druga stanowi książka, obejmująca informacje, ściśle zastosowane do bieżących potrzeb ziemian naszych, oraz rozprawy z najważniejszych przedmiotów, stanowiących o bycie rolnika.

Kalendarz ten kosztuje: dla prenumeratorów Gazety Rolniczej Rs. 1. Dla prenumeratorów Biblioteki Rolniczej kop. 75. Dla osób nieprenumerujących obu tych wydawnictw rs. 1 kop. 20. (Złp. 8). Pieniądze przysłać należy pod adresem Redaktora Gazety Rolniczej w Warszawie, Ulica Solna N. 715.

Obok tego Składy główne tego wydawnictwa ustanowione zostały: w księgarni Gebethnera i Wolffa przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście w Warszawie N. 415 i w Składzie materiałów piśmiennych p. Antoniego Szustra przy ulicy Wierzbowej wprost placu Teatralnego N. 473 Lit. c.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.



N. 1. Koronka Irlandzka. (point lacé.)

N. 1. Koronka Irlandzka (Point lacé). Robota rączna.

N. 4—5. Dwa garnirunki do szmizetek. Ryciny N 33, 28 i 23 w Tyg. M6d N 5.

Nowy rodzaj rącznej koronki zastąpić może miejsce kosztownych koronek, tak białych jak czarnych jedwabnych, naśladowujących gipiurę, do ubrania rękawów i stanika przy kolorowych sukniach. Opisawszy już poprzednio rodzaj roboty, ograniczamy się dziś tylko na dokładnie narysowanej rycinie.

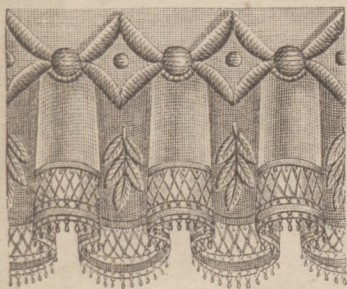
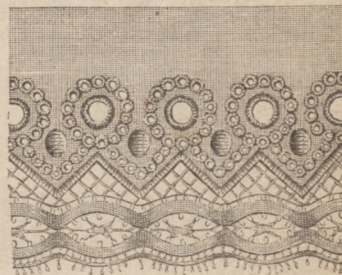


N. 2. Ciepły pantofel haftowany.

N. 6. Torba wyszywana ścięciem sznurkowym.

Materiał: Popielate nieblichowane płótno, czarna angielska włóczka, czerwona filozela, 300 cent. czarnej plecionki (1 1/2 szerokiej) 5 kościanych k6łek.

Model składa się z dwóch głównych części, z których dolna kieszeniowa wraz z obrębką u góry 2 1/2 c. liczącym, wynosi 3 3/4



N. 2—3. Ciepły pantofel haftowany.

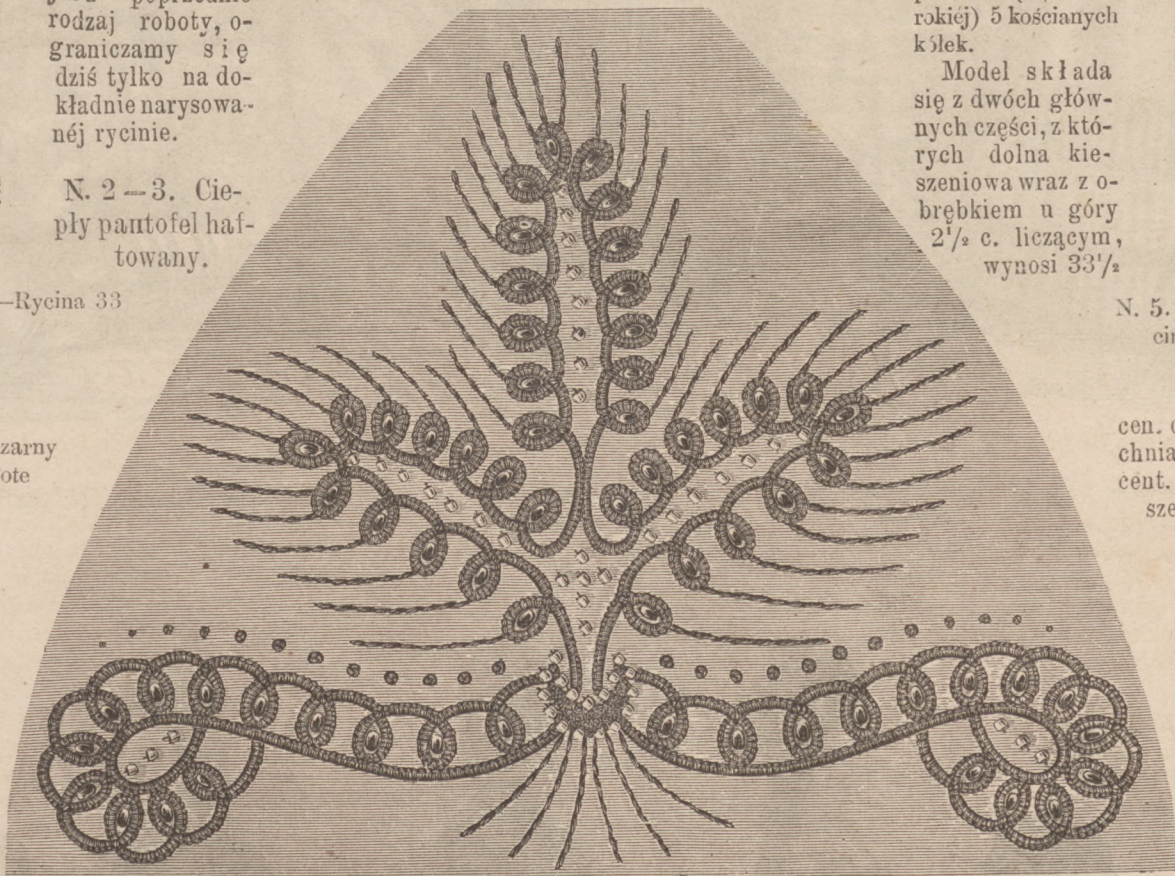
N. 4. Garnirunek do szmizetki.—Rycina 33 w Tyg. M6d N. 5.

N. 5. Garnirunek do szmizetki. Rycina 27 i 28 w Ty. M6d N. 5.

Haft i frywolitki.

Materiał: Kolorowe sukno, czarny kordonek i cienki jedwab, złote i czarne paciorki.

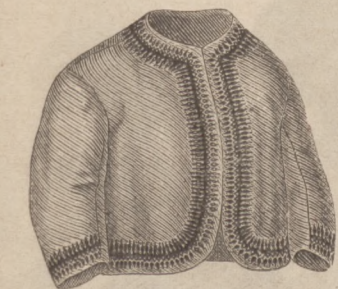
Osoby, którym bardzo zimną nogi, używają do rozgrzewania ciepłego obuwia; na ten użytek, podajemy pantofel, głęboko zachodzący na podbiciu, ciepło podszejkowany wraz z podeszwą. Na podeszwę, bierze się miękką mocną felpę, lub coś w rodzaju futerka. Do tyłu pantofla, przyszywa się 4 cent. szeroka a 16 cent. długa gumowa tasiemka. Wierzch jest rypso-



N. 3. Deseń na pantofel do N. 2. Haft i frywolitki.

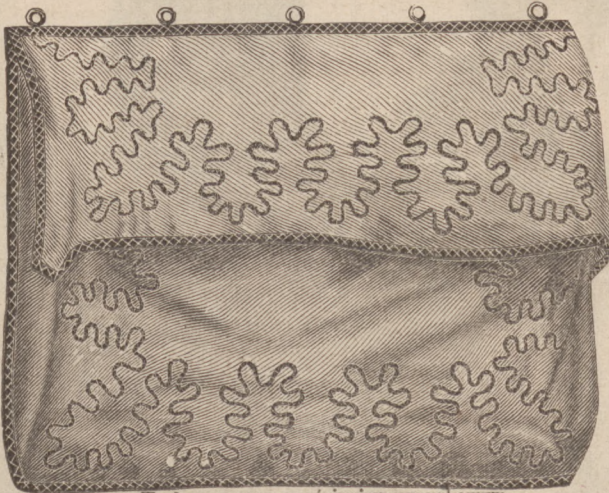
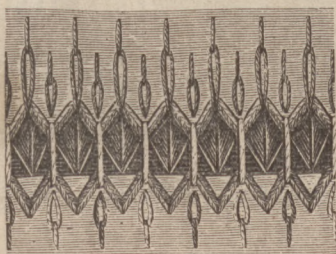
cen. długości a 33 szerokości; wierzchnia tasiemką lamowaną, 28 1/2 cent. długa, kraje się na 54 cent. szeroka. Wykład 54 cent. szeroki a 19 1/2 długi, lamuje się tasiemką. Wyszycie torby ścięciem sznurkowym łatwo naśladować podług ryc. 6. Ścięcie tego polega, żeby grubą stembnówkę czarnej włóczki, krzyżować w jedną i drugą stronę czerwoną filozelą, przez co tworzą się małe krzyżyki.

Połączenie wszystkich części torby, dopełnia



N. 8. Kaftanik dla małej dziewczynki. Krój w dodatku N. VI Fig. 17—20.

niczej nitki do łączących półzabków; liczą pod węzłków na zębki, zastosowywa się do rozmiarów deseni; podw. węzł. pętelek, dochodzą od 16—24 stosownie do wielkości. Każdą pętelkę przyszywa się dwoma ścięgami, półzabki zostają luźne. Wąsy kłosów są czarne; paciorki czarne i złote, jak również czarne węzłki, dopełniają wyszycia.



N. 6. Torba wyszywana ścięciem sznurkowym.

czarna lamówka, trzeba jednak poprzednio, szerokość zewnętrznej połowy torby i wykładu, zebrać po każdej stronie w jedną głęboką fałdę, która w każdej części, przytwierdza się lamowaniem, z a w s z e czerwonymi krzyżykami wyszywaniem. Pięć k6łek, czarną włóczką okręconych, służą do zawieszania torby, która otrzymuje u górnego brzegu trzcinke albo fiszbin, żeby był sztywniejszy, i umieszcza się dla wygody w bliskości stolika do roboty, lub maszyny.

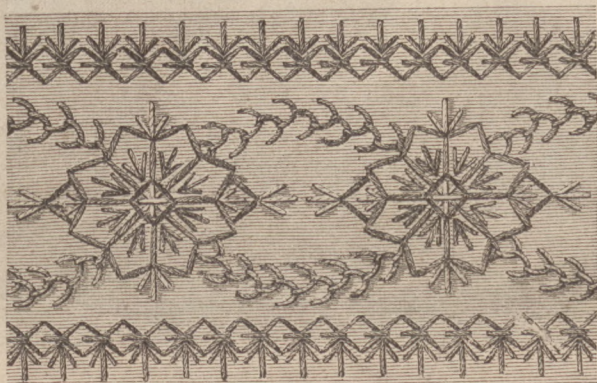


N. 7. Kaftanik dla małego chłopca. Krój w dodatku N. VI fig. 17—20.

N. 7. Kaftanik dla małego chłopca.

Krój na dodatku N. VI Fig. 17—20.

Na formach znajdujące się kropkowane linie, oznaczają węższy



N. 9, 10 i 11. Trzy desenie na szlaczki do kaftaników, bluzek, okryć i t. d.



N. 12. Ubranie na koncert lub do teatru. N. 13. Ubranie małej dziewczynki. N. 14. Ubranie małej dziewczynki. N. 15. Wieczorowe ubranie. N. 16. Balowe ubranie. N. 17. Ubranie dziecka od 1—2 lat. N. 18. Domowe ubranie. N. 19. Strój balowy. N. 20. Ubranie małego chłopczyka. Krój w dodatku N. VI Fig. 17—21. N. 21. Spacerowe ubranie dla młodych panien. N. 22. Kostium dla dziewczynki do lat 12. N. 23. Ubranie na objad.



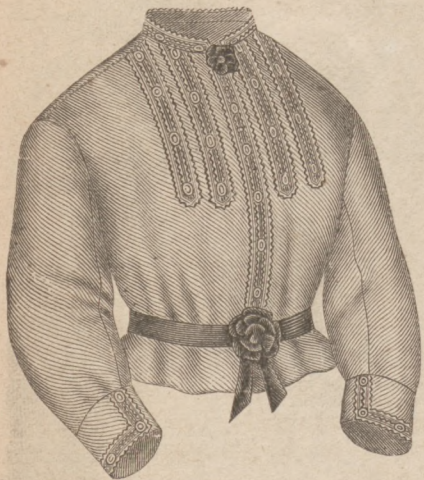
N. 24. Ubranie małej dziewczynki. N. 25. Ubranie na koncert albo do teatru. N. 26. Strój balowy. N. 27. Domowe ubranie dla młodych osób. N. 28. Ranne ubranie. Krój w dodatku N. I Fig. 1—6. N. 29. Suknia wiytowa. N. 30. Kostium dla małej dziewczynki. N. 31. Spacerowe ubranie dla małej dziewczynki. N. 32. Kostium ubranie. N. 33. Kostium ze szkockiego materiału. N. 34. Ubranie chłopczyka. N. 35. Strój balowy. N. 36. Ubranie małej dziewczynki. N. 37. Wieczorowa suknia. N. 38. Strój balowy.

kaftanik u którego 4 — 6 cent. niedoszyte szwy boków, formują rodzaj fraczka; materiał należy obrachować i na zapięcie przodów na guziki. Piękny modelik z marynarskiego szafirowego sukna, z kołnierzem odpowiednim podług Fig. 19 przyrządzonym. przyozdabiają, wyszyta z białym brzeżkiem i złote guziki.

N. 8. Kaftanik dla małej dziewczynki.

Krój na dodatku N. VI Fig. 17—20.

Kaftanik ten z cienkiej białej flaneli, czerwonym kaszmiem podbity, ozdabia szlak haftowany podług deseni ryc. 9 i 10. Krajac, uważać trzeba na za-



N. 42. Bluzka ubrana wstawkami.

okrąglenie brzegów przodu, kropkowaną linią oznaczone; wykroj szyć, opatruje się wypustką, lub ukosnym paskiem.

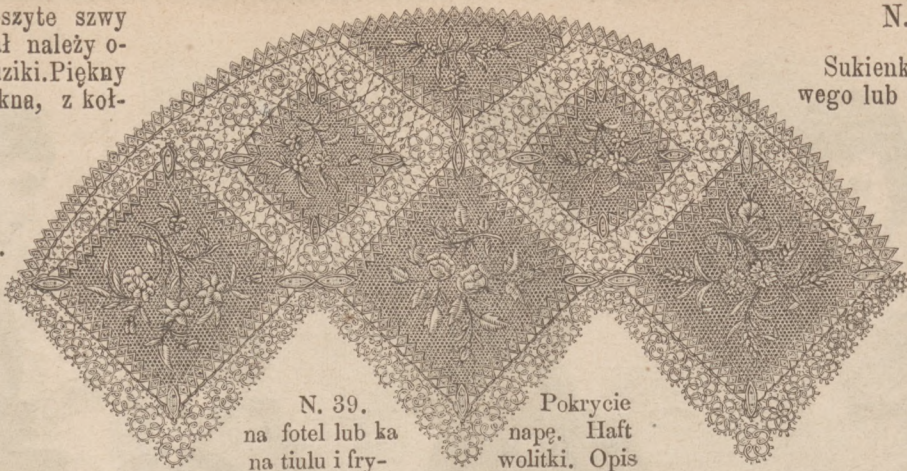
N. 9—11. Trzy haftowane szlaczki na kaftaniki „sortie de bal, szarfy, bluzki itd.

Rodzaj wyszycia składa: ściąg długi, pętelkowy, sznurkowy, (czyli stembnówka okręcana) tak jak to objaśnia rycina. Dobór kordonków lub cieniutkiej angielskiej włóczki polega na guście, radzimy jednak mięszać kolory w rodzaju tureckim, pięknie od tła odbijające.

N. 12. Ubranie na koncert.

Suknia nie powłóczysta czarna jedwabna, z takimże plisowanemi dwoma falbanami, środkiem których idzie trzecia kolorowa. Okrycie „Veste Syrien“ formuje z ty-

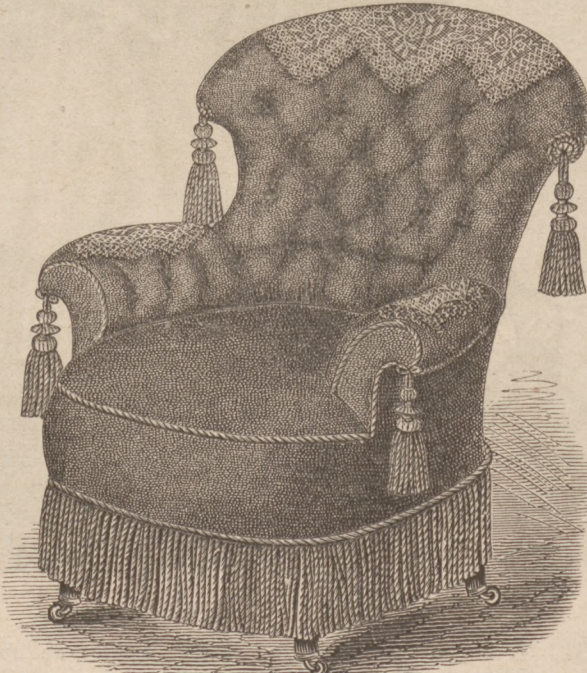
łu talmę. z przodu weinany kaftanik z szerokimi rękawami. Białe, z kolorowym sutaszowem wyszyciem używa się do wszystkich sukien; może być także kolorowe złotym sznurem przybrane, np. sukienne czerwone, przy takiejże falbanie na spódnicy.



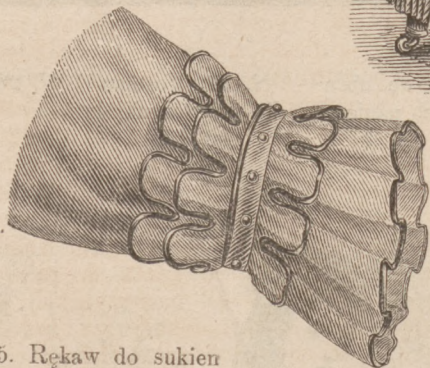
N. 39. Pokrycie na fotel lub kanapę. Haft na tiulu i frywolitki. Opis i deseń w dodatku N. 9—12.



N. 43. Wstawka do bluzki. Rycina 42.



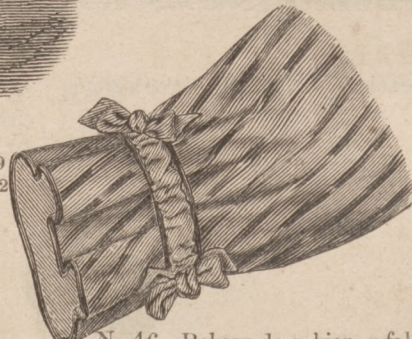
N. 41. Fotel z pokryciem tiulowem. Zobacz rycinę 39 i 40. Opis i deseń w dodatku N. 9 do 12



N. 45. Rękaw do sukien z faldowaną falbaną. Krój i opis w dodatku N. III. Fig. 12—13a.



N. 47. Haft wany medaljon.



N. 46. Rękaw do sukien z faldowaną falbaną. Krój i opis w dodatku N. III Fig. 12—13a.

N. 13. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka kwadratowo wycięta z klapkami z różowego lub niebieskiego kaszmiru, okładana łabędzim puszkim. Muślinowa szmizetka dopełnia staniczka.

N. 14. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka w pasy; jednokolorowa tunika wycięta podłużnie, ułożona w fałdy na staniku, oszyta falbanką na spódnicy, i podpinana po bokach.



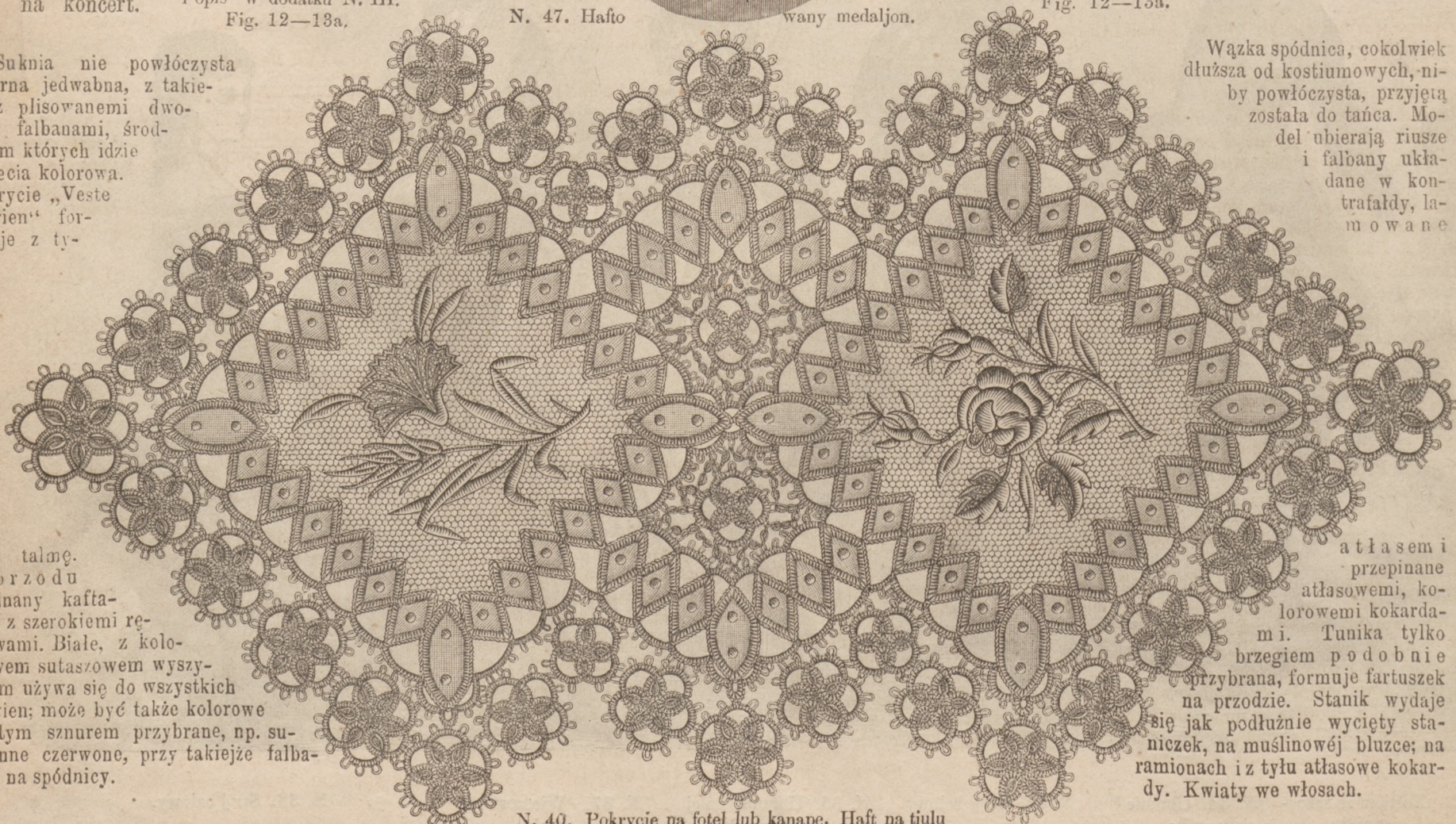
N. 44. Stanik pod szyję z baszką. Krój i opis w dodatku N. II Fig. 7—11.

N. 15. Wieczorowe ubranie.

Suknia z trenem, w koło oszyta szeroką, z przodu wążkami falbankami, danemi „à tablier“ mającemi zamiast nagłówek podwójne bufki. Prosto skrajaną tunikę podpinają się z boków. Stanik pod szyję, wycięty w bardzo głęboki kwadrat „à la Watteau“ dopełnia szmizetka; rękawy podobne.

N. 16. Balowe ubranie.

Wążka spódnica, cokolwiek dłuższa od kostiumowych, ni- by powłóczysta, przyjęta została do tańca. Model ubierają riasze i falbany układane w kontrafaldy, lamowane



N. 40. Pokrycie na fotel lub kanapę. Haft na tiulu i frywolitki. Opis i deseń w dodatku N. 9—12.

a tłasem i przepinane atłasowemi, kolorowemi kokardami. Tunika tylko brzegiem podobnie przybrana, formuje fartuszek na przodzie. Stanik wydaje się jak podłużnie wycięty staniczek, na muślinowej bluzce; na ramionach i z tyłu atłasowe kokardy. Kwiaty we włosach.